

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

WRZESIEŃ 2017/5

magazynhisteria.pl

GOŚĆ SPECJALNY

Artur Urbanowicz

COŚ | METODA PANI BAZI | NAPISZ DLA MNIE
POJMANY | PRÓŻNE ŻALE | PRZEKLEŃSTWO
ŚMIERĆ | TWARZ MIASTA | WIDZIADŁO
Z POWROTEM W POKOJU NUMER 12

W
2017

SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
COŚ	Maria Kowalska	5
METODA PANI BAZI	Artur Urbanowicz	12
NAPISZ DLA MNIE	Anna Musiałowicz	23
POJMANY	Jacek Nowak	31
PRÓŻNE ŻALE	Iwona Urbańczyk	44
PRZEKLEŃSTWO	Jakub Filipkowski	50
ŚMIERĆ	Małgorzata Lisińska	61
TWARZ MIASTA	Sylwia Błach	67
WIDZIADŁO	Mateusz Morawiec	72
Z POWROTEM W POKOJU NUMER 12	Jakub Trzeciak	80

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Projekt okładki: Joanna Widomska

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Dawid Boldys, Marcin Czarnecki, Olga Czarnecka Magdalena Isbrandt, Małgorzata Siłkowska, Karolina Stolarska, Alicja Tempłowicz, A.A. Turkiewicz "Triopse", Izabela Wojciechowska, Zvyrke

Korekta: Joanna Korytko, Alicja Podkalicka

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami wrześniowa Histeria. Gościem Specjalnym dwudziestego drugiego numeru jest Artur Urbanowicz, który prezentuje na naszych łamach niepublikowane dotąd opowiadanie „Metoda pani Bazi”.

Wśród dziesięciu opowiadań znajdziecie cztery finałowe teksty z konkursu „Mroczna połowa”, zorganizowanego ku czci Stephen Kinga, który obchodzi w tym miesiącu 70. rocznicę urodzin. Na początek jednak wywiad z Histerykiem Miesiąca – Maciejem Szymczakiem.

Tyle od nas. Wracamy do prac nad listopadową Histerią. Życzymy strasznej lektury!



B. Jaworski i M. Zawadzki

WYZNANIA HISTERYKA

Maciej Szymczak



Rocznik 1980. Z wykształcenia filozof, z zawodu agent turystyczny. Z zamiłowania pisarz amator, autor opowiadań z gatunku horror. Jego teksty opublikowane zostały na portalach: Kostnica, Horror Online, Arena Horror, Szortal oraz magazynach: Szortal na Wynos, Histeria, Czerwony Karzeł i w czeskim magazynie Howard. Dwukrotny laureat konkursu literackiego zorganizowanego przez portal Horror Online. Jego opowiadania ukazały się w antologiach: Szlakiem Odmieńców (2014), Lustra Zbrodni (2015), Krew Zapomnianych Bogów (pomysłodawca pierwszej polskiej antologii słowiańskiej grozy i współautor – 2016), Krwawnik 2 (2016), Tabu (2017), Słowiańskie Koszmary (pomysłodawca i współautor).

Założyciel i członek nieistniejącej już grupy poetyckiej „Bractwo Śniących”. Administrator strony Czytanie jest Sexy, która ma za misję szerzenie miłości do książek wśród opornych Polaków. W czasach licealnych i studenckich tworzył na lokalnej poznańskiej scenie muzycznej (ciężka odmiana metalu). Miłośnik historii dawnej Słowiańszczyzny, czego wyraz daje na papierze (np. w kwartalniku rodzimowierczym Gniazdo). Swoje teksty publikuje regularnie w magazynie rozwojowym Taraka. Miłośnik natury, zwolennik religii naturalnych, wolnomyśliciel cały czas szukający odpowiedzi na nurtujące go pytania.

Jego wielką pasją są podróże, zarówno te bliskie, jak i dalekie. Uwielbia średniowieczne zamki, twierdze, XVIII-wieczne opuszczone pałace. Zafascynowany starożytnymi konstrukcjami, szczególnie dolmenami, kurhanami i kregami kamiennymi (odkrywca jednego z nich w Wielkopolsce). Chętnie odwiedza dawne miejsca kultu: święte góry, wzgórza, źródła, skąd czerpie pozytywną inspirację. Prywatnie mąż oraz ojciec dwojga wspaniałych dzieci.

Skąd pomysł na opowiadanie „Oni”?

Od dawna pasjonują mnie NOL-e (niezidentyfikowane obiekty latające). UFO to zjawisko często obserwowalne na niebie, bez względu na szerokość geograficzną. Istnieją setki tysięcy wiarogodnych przekazów na temat zagadkowych statków powietrznych i mimo ironii większości dziennikarzy, obok niektórych przypadków nie da się przejść obojętnie. Trafiają się materialne dowody na istnienie owych zjawisk, są wiarygodne materiały filmowe, a także świadkowie, których prawdziwość trudno zakwestionować. UFO jako fenomen występujący w świecie to udokumentowany fakt. Zasadniczym jest pytanie: Czym są NOL-e? Statkami powietrznymi obcej cywilizacji, tajnymi samolotami którejsz ze stron uczestniczących w globalnym wyścigu zbrojeniowym, a może niezbadanym dotąd zjawiskiem naturalnym? Jaką odpowiedź byśmy nie wybrali, należy mieć świadomość (a tematem tym interesuję się ładnych parę lat), iż coś tajemniczego przemierza podniebne przestworza. Jeśli to kosmici, to jakie mają zamiary wobec nas? W opowiadaniu „Oni” przedstawiłem mój punkt widzenia :)

Jak wyglądała praca nad tekstem?

Pomysł na opowiadanie wypływa zawsze z mojego wnętrza, to jak grom z jasnego nieba, który uderza we mnie, kreśląc w głowie wizję nienapisanej jeszcze historii. Nie szukam inspiracji na zewnątrz, nie tworzę scenariuszy, rozpisując daną historię w brudnopisie, to zawsze jest forma swego rodzaju natchnienia. Piszę, póki słowa się ze mnie wylewają, czasem zabrnę w ślepy zaułek i nie skończę danego opowiadania, jestem uzależniony od kaprysów osobistej Muzy. A praca nad samym tekstem? Spływa on na papier w nieuporządkowanej formie. Czytam go do znudzenia dziesiątki razy i co rusz coś poprawiam, tak długo, aż nie osiągnie on satysfakcjonującej według mnie formy literackiej. Oczywiście po czasie jeszcze coś bym w nim poprawił, ale to całkiem normalne. Chyba każdy, kto pisze, tak ma :)

Jakich pisarzy szeroko pojętej grozy cenisz sobie najbardziej?

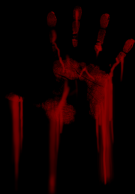
Bardzo lubię Lovecrafta. Cenię sobie klimat, jaki stworzył, jest on absolutnie niepowtarzalny i unikatowy. O wielkości samotnika z Providence świadczy to, iż wielu współczesnych fanów grozy uważa wykreowane przez niego mityczne bóstwa za realne, za twórcy kulturowy wymarłych ludów. Chyba nikt inny nie osiągnął czegoś podobnego! Pisarz stworzył swoistą mitologię, biblię, z której czerpią fani grozy na całym świecie. Pomyśleć tylko, iż niektórzy okultyści uważają Necronomicon za dzieło autentyczne :) Lubię także Roberta E. Howarda, zwłaszcza jego teksty, które są napisane w konwencji weird fiction. On ma w sobie podobny mrok, podobną trwogę co Lovecraft (sami panowie zresztą pisywali do siebie listy). Czytuję też trochę autorów z naszego rodzimego podwórka. Bardzo przypadł mi do gustu styl Tomasza Siwca, jednego z piewców horroru ekstremalnego w naszym kraju. Autor ten ma szalone pomysły i duże poczucie humoru, czytanie jego prac zawsze sprawia mi przyjemność. Polubiłem także twórczość Piotra Borowca, to bardzo utalentowany literat, który potrafi w wykreowanych przez siebie historiach stworzyć autentyczny klimat grozy. Wszystkie Białe Damy to jeden z ciekawszych zbiorów opowiadań polskich autorów, z jakim przyszło mi się zapoznać.

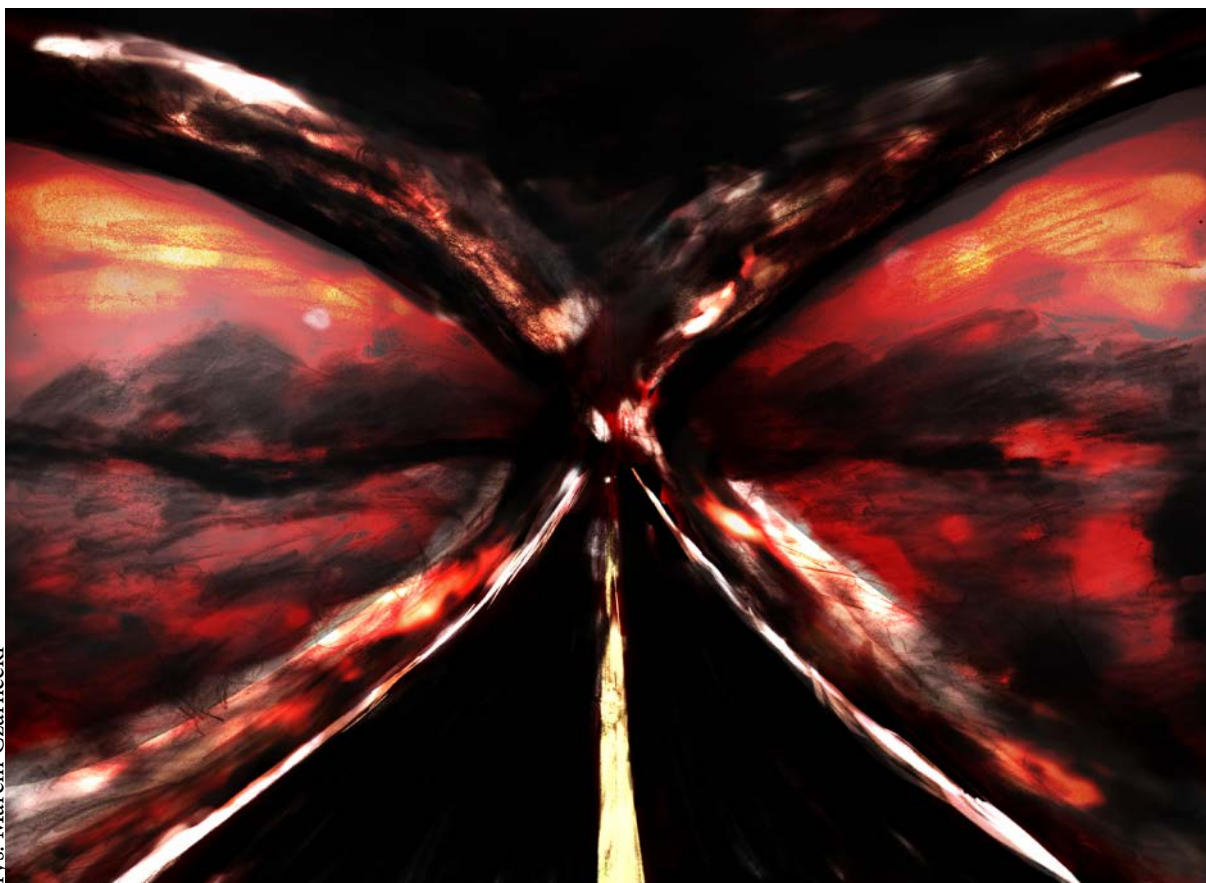
Pisanie to hobby czy coś więcej?

Pisanie to przede wszystkim pasja, już jako chłopak w podstawówce kreśliłem opowiadki grozy, których bohaterami najczęściej byli rówieśnicy z mojej klasy. Historie te cieszyły się wielką popularnością i zawsze był to najważniejszy punkt lekcji języka polskiego. Później zabrnąłem w stronę poezji i muzyki, oddalając się znacznie od ukochanego horroru. Po latach COŚ mnie szturchnęło i powiedziało do ucha: Czas ucieka, jak nie teraz to kiedy?! Więc piszę, mam pewne plany z tym związane, zobaczymy, jak to wszystko się potoczy. Obecnie pracuję nad debiutanckim zbiorem opowiadań, jeśli wszystko dobrze pójdzie, to być może ujrzy on światło dzienne na początku przyszłego roku.

Z czym kojarzy Ci się słowo histeria?

Cóż, odkrywczy nie będę. Histeria kojarzy mi się dosłownie, a więc z paniką, złym stanem psychicznym, fobiami, które niszczą nas od środka. Dziękuję za wywiad, pozdrawiam redakcję magazynu i wszystkich fanów grozy w Polsce. Strzeżcie się gwiazdnych pasożytów!





COŚ

Maria Kowalska

Samuel Grayson to spokojny gość. Spokojny do czasu. Jak w każdym człowieku, tak też w Samie czasami się gotuje. Gdy jego nerwy nadwyrężają się do granic możliwości, co zdarza się raczej nie często, siada za kółko swojego cadillaca deville'a z siedemdziesiątego czwartego i śmiga nim w dal, dając się ponieść asfaltowym wstęgom ciągnącym się przez pustynne połacie Nevady. Jeśli widzieliście go kiedyś rozpędzonego na drodze stanowej numer 375, z otwartym od strony kierowcy oknem i ciemnymi włosami mierzwionymi przez pęd powietrza, możecie być pewni, praktycznie w stu procentach, że widzieliście Sama w stanie wzburzenia. Jest to Sam, którego ciężko pomylić z jakimkolwiek innym wcieleniem tego faceta. Na co dzień jest to raczej zwykły, szary człowiek, niewyróżniający się niczym

szczególnym. Każdego ranka przekracza próg swojego domu, rozsiada się w fotelu na werandzie z paczką chesterfieldów, pudełkiem zapalek oraz notesem przewiązany zielonym sznurkiem i zaciągając się gęstym dymem, zaczyna pisać. Początkowo chaotycznie, szybkimi ruchami spisuje swoje myśli, zatapiając końcówkę stalówki w szorstkiej strukturze papieru. Później, nieco rozważniej, z wymalowanym na twarzy skupieniem godnym miny szachisty rozgrywającego wyjątkowo zaciekły mecz, skrupulatnie układa zdania, a te przemienia kolejno w akapity i rozdziały. Od czasu do czasu mimowolnie pociera otwartą dłonią pobielale knykcie lub bezmyślnie drapie się za uchem, używając do tego końcówki pióra. Nie znosi pisać na maszynie. Uważa, że tak jak malarz trzyma w ręku pędzel, tak pisarz powinien trzymać w dłoni pióro, przynajmniej na wstępnym etapie pisania. Samuel Grayson to tradycjonalista i nikt ani nic nie jest w stanie zmienić jego pisarskich rytuałów.

Pisanie zwykle idzie mu gładko i dosyć szybko, dlatego też gdy pojawia się, czasem nieunikniona, twórcza blokada, Sama ogarnia roztargnienie i frustracja. Zaczyna wtedy nerwowo przeczesywać włosy, raz po raz zmieniając położenie równego przedziałka, jakby to on był źródłem pisarskiego natchnienia i jak gdyby zmiana jego miejsca miała mu pomóc w odświeżeniu materiału. Zwykle też wstaje wówczas z fotela, schodzi z werandy i staje w cieniu budynku, wpatrując się w zaparkowany na podjeździe samochód. Wie, że wkrótce nadejdzie ten moment, w którym przekręci kluczyk w stacyjce i ruszy w drogę. Będzie to sytuacyjne apogeum, zwieńczenie jego nieposkromionej frustracji, która wewnętrznie wyżera go niczym silny kwas.

Prosta wstęga drogi, pęd rozgrzanego powietrza uderzający w karoserię i przesuujące się za oknem spopielone rośliny oraz czerwone skały przypominające zastygłe w bezruchu monstra z piekielnych otchłani – obrazy te powoli zapełniają głowę Sama, ogarniętą żądzą ucieczki do krainy natchnienia. Parę razy wraca jeszcze na werandę, gdzie ślepo wlepiając wzrok w notatnik, zaciąga się tytoniem. Po niedługim czasie wie jednak, że nic z tego. Dopóki nie wyjeździ przynajmniej kilkudziesięciu kilometrów z dala od domu, nie dokończy żadnego tekstu.

Tego dnia było wyjątkowo upalnie. Temperatura powietrza musiała sięgać przynajmniej czterdziestu stopni. Na niebie majaczyło jedynie znikome widmo chmur przypominających niewyraźne ślimaki z wolna pełzające w sobie tylko znanym kierunku. Horyzont otoczony wiankiem gór kołysał się i drżał w rozgrzanym powietrzu, a słabe podmuchy ciepłego wiatru wznosiły ponad ziemię drobny piasek przypominający popiół. Maski cadillaca lśniła w słońcu intensywną zielenią, odznaczając się wyraźnie na tle jednolicie pomarańczowo-brunatnego krajobrazu. Sam co jakiś czas odrywał raz jedną, raz

drugą rękę od kierownicy, która niemiłosiernie parzyła go w dłoń, wycierał z nich pot w nogawki znoszonych dżinsów. Z namaszczeniem zmieniał kolejne biegi i dodawał gazu, wzbijając wysoko w górę przydrożny piach. Mknął coraz szybciej i szybciej, a przez otwarte okno wpadało agresywne powietrze zadające mu gorące, suche uderzenia w zapadniętą twarz i porywające z sobą kłęby papierosowego dymu.

– Zapnijcie pasy, drodzy słuchacze. – Głos spikera radiowego z początku zabrzmiał jak dźwięk pocieranych o siebie kawałków styropianu, po chwili zaskrzeczał głosem przypominającym skrzypienie nienaoliwionego wieka starej skrzyni. W końcu jednak radio ustabilizowało się i głos mężczyzny zabrzmiał w miarę czysto, w tle dało się słyszeć jedynie monotony szum.

– Przygotujcie się na solidną dawkę rocka! Oto przed wami Van Halen w utworze „Ice Cream Man”!

Spiker zamilkł i w radiu nastąpiła krótka chwila ciszy. Po kilku sekundach rozbrzmiały jednak pierwsze dźwięki gitary. W miarę rozwijania się utworu, Sam automatycznie wcisnął pedał gazu. Przesuwający się za oknami krajobraz zamienił się w brunatną papkę. Auto podrygiwało na nierównościach rozgrzanego asfaltu, a silnik przyjaźnie mruczał w takt muzyki. Sam podśpiewywał pod nosem *I'm your ice cream man, stop me when I'm passin' by* i, z sekundy na sekundę, wyraźnie łagodniał. Jego palce wystukiwały rytm, to na kierownicy, to na skrywającej udo spranej nogawce, a głowa łagodnie kiwała się w przód i w tył. Pomysły powoli układały się w spójną całość, przestawały być wyłącznie błędzonymi po głowie zarysami słów, a zaczynały przybierać wyraźne kształty. Na tamtą chwilę świat zewnętrzny stracił dla Samuela na znaczeniu. Był tylko on, jego rozpędzony cadillac i głos Davida Lee Rotha sączący się rytmicznie z głośników przy akompaniamencie radiowych szumów. Muzyka wypełniała wnętrze samochodu po brzegi. Gdyby dźwięki przybrały nagle postać cieczy, pewnie spływałyby wówczas kaskadami po skórzanej tapicerce.

Temperatura powietrza w pojeździe zdawała się rosnać wraz z kolejnymi kilometrami naliczanymi na desce rozdzielczej, Sam jednak przestał zdawać sobie z tego sprawę. Był w innym świecie – świecie fantazji, iluzji i zaokiennej papki.

Z czoła Sama spłynęła kropla potu – zimna i trzeźwiająca. Fakt ten wyrwał go poniekąd z błęgiego letargu i sprowadził z powrotem na ziemię z wędrówki po niezbadanych ścieżkach natchnienia. Przynajmniej częściowo, gdyż jedna część Sama wciąż błędziła poza widoczną linią horyzontu. Druga część jednak, bardziej przywiązana do rzeczywistości, dostrzegła coś kątem oka. Coś, co z dużą prędkością przemierzało brunatną ziemię, zbliżając się do drogi i choć początkowo racjonalna połowa Sama to zignorowała, po chwili otrzymała jasne

i wyraźne świadectwo obecności tego „czegoś”.

Wszystko stało się bardzo szybko, właściwie jakby w jednym, krótkim momencie. Wraz z końcem piosenki z radia rozbrzmiał nagły, przeraźliwy szum przerywany głośnymi trzaskami, temperatura powietrza podskoczyła gwałtownie, a w prawy bok samochodu uderzyło Coś. Gdyby ktoś starał się owo Coś określić, zapewne powiedziałyby sławetne słowa „W zasadzie ciężko to opisać”, które z pewnością bardzo „cieszą” wszystkich śledczych tego świata. Jedno jest pewne – Coś było szybkie i częściowo niewidzialne. Gdy Samuel wspominał później to zdarzenie, zorientował się, że to, co bezpośrednio uderzyło w samochód, było raczej czymś w rodzaju pola siłowego otaczającego Coś, gdyż odrzut nastąpił tuż przed tym, jak sama srebrzysta materia tego Czegoś dotarła do drogi.

Samuel Grayson miał prawo jazdy od dwudziestu lat. Nie raz zdarzyło mu się uczestniczyć w mniejszej lub większej stłuczce, jednak jako kierowca zawsze był opanowany. Był niczym cholerna oaza spokoju pośród drogowych burz i znojów. Nawet gdy jego samochód, stary cadillac (Sam jest wielbicielem tej marki) z siedemdziesiątego drugiego zamienił się pewnego felernego dnia w pogniecioną puszkę po sardynkach, zachował w miarę zimną krew. Jednak gdy Coś (tak to sobie roboczo nazywał) z całym impetem uderzyło w jego samochód na drodze stanowej numer 375, nie od razu się otrząsnął. Z piskiem opon potoczył się po całej szerokości drogi, zostawiając za sobą czarne ślady ostrego hamowania. Zatrzymał się ukośnie na lewym poboczu, wzbijając w powietrze potężne tumany piachu i pyłu.

Przez długą, trwającą niemal wieczność chwilę, Sam siedział i ciężko dyszał, łapiąc w płuca litry dusznego powietrza. Zdawało mu się, może słusznie, że kurz jak wzbił się w górę, tak trwał nieruchomo w powietrzu i nie chciał opaść. Jak gdyby miał swój własny rozum i z premedytacją odciął Samuela od świata zewnętrznego. Zresztą Sam nawet nie chciał wiedzieć, co kryje się za tą ścianą pyłu. Wolał, póki co, żyć w nieświadomości.

Po kilku dłużących się minutach kurz w końcu opadł na dobre i odsłonił niezmienny krajobraz. Wszystko było takie jak przedtem – prosta droga, pustynne połączenie i leniwe ślimaczane chmury wiszące nad okolicą. Na trzęsących się nogach Samuel wyszedł na zewnątrz i wyjrzał za siebie. Dostrzegł zygzakowate ślady spalonej gumy i nic poza tym. Z niemalym przestrawieniem obszedł samochód i zaciskając zęby obrzucił wzrokiem prawy bok. Spodziewał się zobaczyć tam fatalnie wgniecioną karoserię, więc w myślach wędrował już ku najbliższemu warsztatowi samochodowemu. Ku jego zdziwieniu karoseria była cała. Ba, nie była nawet zarysowana! Jej powierzchnia, tym razem jedynie bardziej zakurzona niż zwykle, wciąż promieniowała zielenią – barwą egzotyczną w promieniu kilkuset kilometrów. Nogi

Sama mimowolnie ugięły się pod jego ciężarem. Mężczyzna rozejrzył się raz jeszcze, obszedł samochód dookoła i zajrzał pod podwozie. Nie dostrzegł niczego podejrzanego. Następnie ruszył wzdłuż czarnych śladów, bojąc się tego, co może ujrzeć na ich końcu. Podejrzewał, że upał i rozkojarzenie wywołały swego rodzaju halucynację, jednak w głębi duszy wierzył w to, co widział. W otchłani umysłu Samuela Graysona kiełkowała myśl, iż gdzieś tam, za czarnymi liniami palonej gumy, będzie leżało małe, srebrzyste Coś otoczone tym swoim polem siłowym, które Bóg jeden wie do czego jeszcze jest zdolne.

Szedł dość długo (a przynajmniej takie miał wrażenie). Po drodze nie napotkał niczego poza szkieletem małego gryzonia, który najprawdopodobniej zginął niegdyś pod kołami bezdusznego samochodu. Samuel stanął pośrodku pustej drogi i utkwiał wzrok na horyzoncie. Wcześniejszy nieśmiały wiatr zniknął teraz całkowicie i wokół panował niemilosierny zaduch. Szukając w kieszeni paczki papierosów, Sam karcił się w myślach za swoje wcześniejsze obawy, z drugiej jednak strony zastanawiał się, czy aby na pewno wszystko z nim w porządku. W końcu to, co zobaczył (i wręcz poczuł), było aż nazbyt realistyczne. Zastanawiał się, czy powinien w ogóle od razu wsiadać za kierownicę. Odpalił jednego chesterfielda i porządnie się zaciągnął. Wypuszczając z ust dym, znów miał niejasne wrażenie, że dym ledwo się poruszał, a wręcz wisiał zawieszony nieruchomo przed jego twarzą. Odruchowo przegonił go dłonią, odwrócił się na pięcie i wrócił do samochodu.

Wracając tą samą drogą (innej zresztą nie było), minął ślady swojej chwilowej niedyspozycji oraz drobny szkielecik gryzonia, którego wcześniej, jadąc w przeciwną stronę, nawet nie zauważył. Zanim wyruszył, odpoczął chwilę i rozcierając skronie, obiecywał sobie, że nie będzie w drodze wspominał swojego zderzenia z Czymś, które to było czystą fikcją zrodzoną przez jego żądny godnej opisaną przygody umysł. Dostał, czego chciał. Mógł wracać do swoich włości i pisać o tym, o czym pragnął napisać. I nie byłoby to nic, co choć przypominałoby jego historię zrodzoną na drodze 375. Trzeba to przyznać bez ogródek – Samuel Grayson po prostu się bał. Był cholernie przerażony i sam wówczas do końca nie wiedział dlaczego.

Nie przejechał długiego dystansu, gdy jego myśli znów poczęły krążyć wokół nowego tematu tabu. Mimo upału, który nie zelżał nawet na chwilę, a wręcz stał się jeszcze bardziej uciążliwy, Sama przeszedł potworny dreszcz, który tak gwałtownie wstrząsnął całym jego ciałem, że aż przeraził go nie na żarty.

– Zapnijcie pasy, drodzy słuchacze. – Słowa spikera złowieszczo wypłynęły z głośników, wypowiedziane tym samym zniekształconym głosem, co jakieś parędziesiąt minut wcześniej. To, że spiker lubił się powtarzać ze swoimi kwestiami nie zdziwiło Sama tak

jak to, że radio tym razem włączyło się samo. I to akurat w takim momencie.

– Przygotujcie się na solidną dawkę rocka! Oto przed wami...

– ...Van Halen w utworze „Ice Cream Man”! – Sam bezrozumnie dokończył kwestię, podążając za słowami spikera. Po prostu powtarzają audycję. No tak, w końcu poprzednia została przerwana przez sunące po ziemi srebrne Coś otoczone pieprzonym polem siłowym spychającym przypadkowe auta z drogi. Tak właśnie było, czyż nie, Samuelu?

Kolejny mimowolny atak dreszczu. Sam mocniej zacisnął dłonie na kierownicy i dodał gazu. Ponownie niepokojąca cisza poprzedziła piosenkę, tym razem jednak trwała jakby dłużej. Zdecydowanie dłużej.

– *I'm your ice cream man, stop me when I'm passin' by...*

Koniec piosenki zbliżał się nieuchronnie, a wraz z nim absurdalne myśli o wcześniejszych wydarzeniach. Ostatnie słowa Davida Lee Rotha, ostatnie dźwięki gitar, ostatnie uderzenia perkusji i... Koniec. Szum. Nic srebrnego, niewidzialnego i mknącego nie pojawiło się jednak w polu widzenia. Sam odetchnął głęboko. Spojrzał tylko na radio, które ni stąd, ni zowąd zamilkło. Lekko się zaniepokoił, jednak ostatecznie stwierdził, że to kwestia przewrażliwienia. Najwyraźniej to jedna z tych nieuniknionych przypadłości towarzyszących starzeniu się. Ponownie postanowił nie zaprzętać sobie tym głowy i skupić się na drodze. W oddali dostrzegł jakąś drobną zmianę krajobrazu. Z początku nie był w stanie stwierdzić, co widzi, gdyż drgające powietrze uniemożliwiało dokładny ogląd dalszych odcinków drogi. W końcu jednak zbliżył się na tyle, by dowiedzieć się, że ma przed sobą czarny zygzak z palonych opon. Jeszcze świeży.

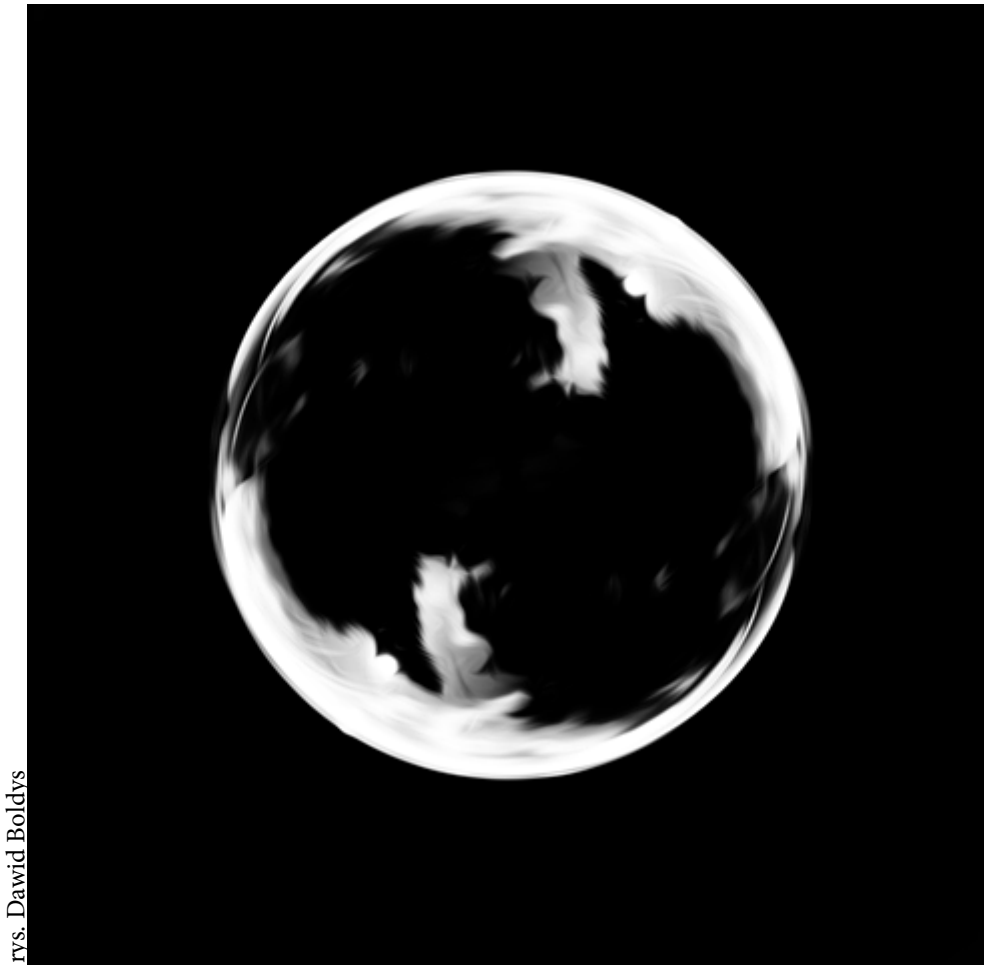
– Paranoja. To jest to, panie Grayson. Zwracasz pan uwagę na takie rzeczy, bo masz pan paranoję. – Sam mrucał pod nosem, bezwiednie nucąc te słowa pod melodię „Ice Cream Man”.

Ale Sam już wiedział, co za chwilę ujrzy. Czuł to całym sobą. Chcąc nie chcąc w końcu to zauważył – mały, drobny szkielecik leżący na samym środku pasa. Szkielecik śmiejący się do rozpuku, z niego i jego paranoicznych stanów.

Droga ciągnęła się po horyzont. Prosta, jednostajna. Pozornie nie mająca końca. Zawsze taka była. Teraz jednak pozorność jej nieskończoności nie była już dla Sama taka jasna i oczywista. Wyglądało na to, że pozory te zostały raz na zawsze pogrzebane, w tym samym miejscu, w którym Sam niegdyś pogrzebał wiarę w świętego Mikołaja i w wieczny pokój na świecie. Droga szła dalej, w głąb rzeczywistości, która nie była mu znana. Teraz mógł tylko czekać na jakikolwiek dowód przypadkowości zdarzeń, który obaliłby jego teorie, powoli gromadzące się tuż pod cienką powierzchnią świadomości. Jednakże...

Trzask. Miarowy szum.

– Zapnijcie pasy, drodzy słuchacze. Przygotujcie się na solidną dawkę rocka! Oto przed wami Van Halen w utworze „Ice Cream Man”! – Pauza. Cholernie długa, trwająca wieczność pauza.



METODA PANI BAZI

Artur Urbanowicz

– Chyba ocipiałaś! – Marcin spojrzał na żonę z politowaniem i odrzucił ulotkę na stół, jakby obchodził się ze śmieciem.

– Nawet nie przeczytałeś do końca... – mruknęła Ola, spuszczać wzrok. Jej niemrawy głos ledwo przebił się przez złożone dłonie, które trzymała na ustach, uprzednio oparłszy łokcie o blat. Podchodziła do tej rozmowy jak do uspokajania agresywnego psa. Oj tak, chyba trafniej się tego określić nie dało.

– Nie muszę czytać do końca! Wystarczy mi samo jej nazwisko i zdjęcie! – Marcin wskazał wizerunek kobiety uśmiechającej się do nich z głównej strony małego folderu.

Bardzo atrakcyjnej, na oko trzydziestopięcioletniej, o kształtnej twarzy otoczonej zadbanymi, kręconymi blond włosami.

– A co z nią jest nie tak? – zapytała Ola. Marcin cmoknął ze zniecierpliwieniem.

– To szarlatanka! Nie widzisz tego? Oszustka, która doi desperatów. – Pochylił się i wyciągnął głowę do przodu. Identycznie jak warczący doberman. – Taka młoda lalunia? Ekspertką od radzenia sobie ze stresem? Innowacyjna, skuteczna metoda? Nie rozśmieszaj mnie! Teraz wszystko na świecie jest „innovacyjne i skuteczne”. Szkoda tylko, że wyłącznie do czasu, jak za to zapłacisz.

– Poszperałam trochę o niej w sieci. Ludzie naprawdę sobie to chwalą... – próbowała jeszcze bronić się Ola. Czuła jednak, że już raczej za dużo w tej rozmowie nie wskóra. Zbyt dobrze знаła swojego gburowatego męża.

– A znasz takie pojęcie jak artykuły sponsorowane? Albo komentarze z fałszywych kont? Wszystkie chwytły dozwolone, byleby dostać się do twojej kieszeni. – Tym razem Marcin wycelował palec w wyfluszczony, wyróżniony na ulotce napis: „*Ze mną osiągniesz pogodę ducha, harmonię i szczęście*”. – Zresztą, wcale bym się nie zdziwił, gdyby ona robiła tylko za twarz, ładne opakowanie mające przyciągnąć frajerów, a w całej akcji pociągał za sznurki ktoś zupełnie inny...

– Wiecznie doszukujesz się jakichś spisków! Nie wszyscy ludzie są tacy! – Ola podniosła głos.

– Nie pójdziemy tam! Możesz o tym zapomnieć. W każdym razie na pewno nie ja. Nie zapłacę ani grosza. Rzekłem! – Marcin wstał od stołu i nie czekając na odpowiedź żony, opuścił kuchnię.

Ola zacisnęła usta, by broń Boże nie pożegnać go kpiącym, udawanym, psim szczekaniem. Wystarczająco dużo jadu w ich małżeństwie zapewniał Marcin, który pracował jako kontroler biletów w gdańskim ZTM-ie. Można by rzec, że po całodziennym obcowaniu z gapowiczami przynosił pracę do domu. Nie należało brać z niego przykładu.

Raz jeszcze chwyciła za ulotkę i spojrzała prosto w roześmiane oczy pani Małgorzaty Bazi – wspomnianej blondynki, szczerzącej do niej swe równiutkie, śnieżnobiałe zęby. Była to jedna z najpopularniejszych polskich terapeutek. Wsławiła się opracowaniem rzekomo niezwykle skutecznej i niespotykanej dotąd metody na radzenie sobie ze stresem. Opisywano ją jako błyskawicznie działające lekarstwo na wszelkie problemy łączące się z przewlekłym doświadczaniem złych emocji. Rozwiązywała każdy konflikt. Co odważniejsi posuwali się nawet do stwierdzenia, że gdyby upowszechnić metodę pani Bazi wśród polityków, na świecie zapanowałby pokój, zniknęłyby wojny i przestaliby ginąć niewinni ludzie.

Choć brzmiało to wszystko zbyt pięknie, by było prawdziwe, Ola wykonała w internecie naprawdę spory *research* i nie natrafiła na żaden, absolutnie żaden komentarz niezadowolonego klienta. Owszem, zdarzało się, że ta czy inna osoba podchodziła do zagadnienia ze sceptycyzmem, twierdząc, że proponowana metoda na pewno jest przereklamowana, a szum wokół niej robi za jeden wielki marketing. Ola zauważyła jednak, że zawsze pisali to ludzie, którzy tak jak ona nie gościli jeszcze na seminariach pani Bazi. Jeżeli zaś chodzi o dotychczasowych uczestników – cisza. Zero. Ani jednego negatywu, co biorąc pod uwagę łatwość w uskutecznieniu anonimowego hejtu w sieci, mogło już nie tyle dziwić, ile zastanawiać.

Nie mniej niż fakt, że podobnie jak złej opinii, absolutnie nigdzie nie dało się znaleźć choćby skróconego opisu tego, na czym metoda terapeutki właściwie polega. Ola przekopala chyba całe Google, ale nie znalazła na ten temat choćby jednej wzmianki, choćby jednego zdania czy streszczenia, co tylko spotęgowało jej ciekawość. Tym bardziej że widziała w tym chyba ostatnią nadzieję na ratowanie toksycznego związku jej i Marcina. Relacja z kanarem to zawsze ryzykowne przedsięwzięcie. Skoro wiecznie spotyka ludzi, którzy oszukują system i przyłapani na tym mają pretensje nie do siebie, a wyłącznie do niego, nie powinno dziwić, że ma do nich określony stosunek.

Jak wściekły pies.

Pani Bazia odbywała teraz coś w rodzaju trasy warsztatowej po Polsce i codziennie odwiedzała inne miasto. Jutro miała zawitać do Gdańska, gdzie mieszkali. Grzechem byłoby nie skorzystać. Ola otworzyła ulotkę, pobieżnie przeleciała wzrokiem tekst i w pewnym momencie dotarła do fragmentu, którego wcześniej z jakiegoś powodu nie zauważyła. Rozszerzyła oczy. Czym prędzej wstała od stołu. Po krótkich poszukiwaniach odnalazła męża w typowym dla niego miejscu, w typowej dla niego o tej porze czynności – przed komputerem, oglądającego mało rozwijające filmiki na YouTube.

– A gdybym ci powiedziała, że udział w jutrzejszym spotkaniu jest darmowy?

Marcin drgnął i powoli odwrócił się w jej stronę.

– Idzie! – Usłyszawszy zbliżające się stuki wysokich obcasów, Ola zaczęła wyglądać znajomej twarzy. Pani Bazia akurat wchodziła na podwyższenie, z którego miała poprowadzić seminarium. Co ciekawe, znajdował się tam również mały stół, na którym stała spora szklana misa z wodą i wszyscy zastanawiali się, do czego rekwizyt zostanie wykorzystany.

Wydarzenie odbywało się w wypełnionej do ostatniego miejsca sali konferencyjnej jednego z gdańskich hoteli na starym mieście.

– Wciąż coś mi tu śmierdzi... – rzucił rozwalony na krześle obok Marcin. Nadal przypominał psa, tym razem leniwie wylegującego się na fotelu. Nadal też nie podzielał entuzjazmu żony. – Ostrzegam cię, przeczytałem tę ulotkę milion razy i znam ją na pamięć. Jeżeli cokolwiek nie będzie się zgadzać, jeżeli pojawi się choćby słowo o płaceniu, wychodzę. I chyba nawet policję wezwę. Dla przykładu.

– Dajże już spokój!

– Już nie podobało mi się samo to, że musiałem cokolwiek podpisać – kontynuował niezrażenie Marcin, mając na myśli obowiązkową parafkę pod pismem podsunętym każdemu gościowi seminarium. Słuchacze mieli zobowiązać się do zachowania zdobytej wiedzy w tajemnicy. – I tak nie zamierzam tego przestrzegać. Ciekawe, jak mnie znajdą... Pff... – prychnął z dezaprobatą.

– Ciii!

– Dzień dobry państwu! – zawołała dziarsko pani Bazia. Nie używała mikrofonu, ale go nie potrzebowała. Dysponowała wystarczająco donośnym, perlistym, wprost kipiącym dziecięcym entuzjazmem głosem. Ola zlustrowała elegancko ubraną mówczynię od stóp do głów. Podręcznikowy przykład pewnej siebie, pozytywnej, stuprocentowej kobiety sukcesu. A ta figura? Jezus Maria... Ola jęknęła w duchu, czując bolesne ukłucie zazdrości.

Po wstępnej wymianie uprzejmości z publicznością terapeutka rozpoczęła swój wykład.

– Na początek kontekst. Niezależnie czy są państwo wierzący, czy nie – nie ma to znaczenia, ponieważ to, co państwu powiem, można odnieść na swój sposób do obydwu ideologii i dojść do identycznych wniosków. Konkretnie jednego. Nie znaleźliśmy się na tym świecie, by się złościć, zamartwiać i smucić. Wręcz przeciwnie. Nasze życie powinno przebiegać w szczęściu, dobrobycie i najlepszej możliwej pogodzie ducha. – Pani Bazia, niczym modelka, oparła jedną rękę o biodro, zaś drugą, z wyprostowanym palcem wskazującym, uniosła. – Jeżeli spojrzymy na to z perspektywy chrześcijanina, Biblia mówi nam, że wszystko, co stworzył Bóg, jest dobre i możemy to twierdzenie odwrócić – dobro, dobra energia jest domeną bożej harmonii. Wszystko, co dobre, zawiera w sobie boży pierwiastek, bożą iskrę, natomiast wszystko mu przeciwne – zło, chaos, choroby i negatywne emocje – należy przypisać złemu duchowi.

– Ty, ja wiem! Ona jest jehową! – odezwał się Marcin. Nie do końca zadbał, by wyrażać się szczególnie cicho. Na szczęście chyba nie dotarło to do pani Bazi, jedynie do

paru osób w pobliżu, które zaczęły się rozglądać. Podczas gdy terapeutka ciągnęła swój wywód, Ola szturchnęła męża łokciem. Po sali rozniosło się przesadne „Ałajka!”.

– Jeżeli zaś spojrzymy na to zagadnienie okiem ateisty, rozważania znacznie się nam skracają i sprowadzają się do prostego stowarzyszenia ze sobą określonych pojęć: dobro równa się normalność, zaś zło jest odchyleniem od normy i nie należy się na nie godzić. Widzimy tę prawidłowość codziennie wokół siebie, chociażby w mediach, które o wiele częściej podają nam informacje o tragediach niż pozytywnych wydarzeniach. To dlatego zło wzbudza emocje. Ponieważ jest odchyleniem od normy! O rzeczach naturalnych, oczywistych się nie informuje. Kiedy już pojmie się tę prostą prawdę, a także fakt, że żadna rzecz na tym świecie, powtarzam – żadna, sama w sobie nie posiada mocy, by wywoływać w nas jakiegokolwiek negatywne uczucia, wszystko staje się znacznie łatwiejsze. To my mamy władzę! Wszystko zależy wyłącznie od nas i naszej subiektywnej interpretacji bodźców, które do nas docierają. Zawsze jest subiektywna. Choć uczuć teoretycznie nie da się kontrolować, grunt to nauczyć się decydować, co wzbudza w nas gniew, smutek, frustrację i rozpacz. To my musimy rozstrzygać, czy czujemy się szczęśliwi, czy smutni. To my musimy być panami sytuacji...

– Ale pieprzy... – jęknął Marcin.

– Wasza chęć zmiany musi więc zacząć się przede wszystkim od motywacji i głębokiej wiary, że proponowana przeze mnie metoda zadziała. Tylko wtedy będzie naprawdę skuteczna. Cała reszta to już wyłącznie trening umysłowy i czerpanie z niego wspaniałych owoców, które poskutkują tak upragnioną przez was zmianą w podejściu. Natomiast zmiana w podejściu to zmiana w życiu...

– I to pieprzy dokładnie to samo, co każdy średnio rozgarnięty trener rozwoju osobistego... – nie przestawał komentować Marcin. – Słowo daję, jeszcze chwila i wychodzę...

– A teraz pora na demonstrację – powiedziała pani Bazia. – Bardzo się cieszę, że jak na niemal każdym moim seminarium, na sali pojawiła się sceptyczna osoba, która nie dość, że przeszkadza, to jeszcze w niezbyt wybredny sposób komentuje to, co mówię. – Niespodziewanie spojrzała prosto na Marcina i, co bardzo kontrastowało z jej słowami, uśmiechnęła się promiennie. Teraz już nie pojedyncze osoby, a cała sala zaczęła wypatrywać jej adwersarza. Ten zeszytniał, jeszcze mocniej zacisnął złożone ręce na klatce piersiowej, skulił się, zmalął na krześle i zaczął się obficie rumienić. Spuścił też po sobie uszy niczym jamnik. Ola zaś w myślach zaśmiała się triumfalnie.

– To doskonały przykład uniwersalnego bodźca wywołującego negatywne emocje –

kontynuowała pani Bazia. – Krytyka. Jakkolwiek uzasadniona by nie była, zawsze powoduje w nas niekontrolowaną reakcję złych uczuć. To normalne i nie stanowią w tej kwestii wyjątku. Niemniej...

Kobieta przerwała, ponieważ potrzebowała odchrząknąć. Najpierw raz, potem drugi. Zaraz jednak chrząknięcia zamieniły się w silny atak kaszlu, który tylko powiększał konsternację publiczności. W pewnym momencie panią Bazię ogarnęły silne duszności, jakby coś zaklinowało jej się w gardle i usilnie próbowała to stamtąd wykrztusić. Zaczynała się coraz bardziej czerwienić. Kiedy pochylona i ze zgiętymi kolanami trzymała się jedną ręką za szyję, na sali zaczęły rozlegać się pierwsze pomruki zaniepokojenia.

Wreszcie terapeutka wykonała ostatnie, najgłośniejsze jak do tej pory kaszlnięcie, które dopełniła dźwiękiem, jakby z wymiotowała, i wypluła coś do misy z wodą. Następnie, jakby nigdy nic, wyprostowała się i zaczęła normalnie mówić.

– Niemniej istnieje łatwy sposób, by się ich pozbyć.

W sali zapadła głucha cisza. Publiczności zajęło całkiem sporo czasu, by zrozumieć, o co chodziło kobiecie. Wszyscy w tym samym momencie spojrzeli na misę, w której pływało teraz coś czarnego. Ola wytężyła wzrok, ale jej miejsce w środku sali nie zapewniało komfortowych warunków do szczegółowego zbadania tej dziwnej rzeczy. Z odległości przypominała małą grudkę błota, plamę ropy lub atramentu.

– Metoda, którą państwu proponuję, wymaga niezwykle rozwiniętej wyobraźni. Bez ćwiczeń się nie obejdzie, ale zapewniam, że jak już dojdziecie co i jak, przyjdzie wam to bardzo łatwo. Trzeba się po prostu pewnych rzeczy nauczyć – kontynuowała pani Bazia. – Chodzi o ten jeden jedyny, udany raz, po którym wszystko pojmiecie. Tak jak z każdą wymagającą treningu czynnością. Czy mówimy o tańcu, czy o kopaniu piłki, czy o grze na jakimkolwiek instrumencie. Chodzi o poczucie kontroli. O to olśnienie, eureka, która czasem przychodzi w najmniej spodziewanym momencie. Po niej następuje automatyzm.

Zarówno Ola, Marcin, jak i reszta nie odrywali wzroku od czarnej jak węgiel substancji, która unosiła się na wodzie. Nawet nie jak węgiel. Jeszcze bardziej.

– Co trzeba zrobić? Najpierw musicie uwierzyć, że jesteście stuprocentowym stworzeniem pewnej dobrej siły, która panuje nad tym światem. Niech to będzie Bóg albo, jeżeli nie wierzycie, po prostu szczęśliwe zrządzenie losu, który z zasady powinien wam sprzyjać. Idąc tym tokiem rozumowania, każda wasza cząstka, każdy atom, z którego się składacie, powinna wypełniać wyłącznie dobra energia, podczas gdy złe emocje, które wami targają, należy uznać za pasożyta, niechcianego, niepasującego do reszty gościa w waszym organizmie. Cały trik polega na nadaniu mu w wyobraźni prawdziwej, materialnej formy.

Zwizualizujcie sobie całe zło, jakie się w was gnieździ, jako właśnie taką obrzydliwą, czarną maź. Coś, co odrzuca samym swoim wyglądem i czego należy się jak najszybciej pozbyć. Wyobraźcie sobie, że takie obrzydlistwo gromadzi się wam w mózgu, płucach, żołądku, żyłach... Wymaga to od was wielkiego skupienia, zaangażowania wszystkich możliwych zmysłów. Musicie to zło zobaczyć, usłyszeć, chłonąć węchem i smakiem, by wreszcie naprawdę poczuć. Kiedy już to się stanie, musicie zebrać je w jednym miejscu, jakbyście chcieli oczyścić organizm z toksyn, a potem... w całości wydalić, identycznie jak ja przed chwilą. – Pani Bazia wskazała misę z wodą. Niepotrzebnie, bowiem ludzie nadal tylko jej słuchali, patrzyli zaś zupełnie gdzie indziej. – Zauważcie, że kiedy to nastąpi, z czystej logiki znowu będziecie składać się wyłącznie z ucieleśnionego dobra. Będziecie na powrót czysti jak łza, takimi, jakimi stworzył was Bóg, bez choćby jednego pierwiastka Szatana ukrytego w tej czarnej mazi. Gwarantuję, że poczujecie różnicę! Poczujecie ogromną zmianę w swoim samopoczuciu, na powrót odzyskacie chęć do życia, zauważycie, że znacznie poprawia się wam nastrój. Z czasem zdacie sobie sprawę, jak trudno będzie wam się nawet zezłościć. Uwolnicie się od złego pasożyta, co oczywiście nie znaczy, że po jakimś czasie pewna jego ilość na powrót się w was nie znajdzie. To nieuniknione, zawsze prędzej czy później natraficie na coś, co doświadczy was o nowe złe emocje. Ale wtedy musicie po prostu zrobić dokładnie to samo, co poprzednio. Skoro już raz wam się udało, dlaczego miałyby nie udać się drugi? Nabyliście narzędzia, które pozwolą wam łatwo uwolnić się od złego i patrzeć na świat wyłącznie w jasnych barwach. Kiedy zmienia się sposób waszego myślenia, zmienia się wasze życie. Na takie, o jakim zawsze marzyliście. To takie proste! – Twarz pani Bazi rozpromieniła się i kobieta rozłożyła ręce w uroczystym geście. Po pogrążonej w ciszy sali wreszcie rozniósł się głośny gwar widzów będących pod wrażeniem demonstracji.

– Jednocześnie – kiedy kobieta odezwała się po raz kolejny, widownia momentalnie umilkła – musicie zapamiętać jedną, bardzo ważną rzecz. – Terapeutka brzmiała teraz nadzwyczaj poważnie, zaś brak uśmiechu sprawiał, że wyglądała nieco nienaturalnie. – Pod żadnym pozorem nie wolno wam dotykać tej czarnej mazi. Pozbądźcie się jej tak szybko, jak to możliwe. Czy spuścicie ją w toalecie, czy spalicie – nie ma znaczenia. Byle byście już nigdy więcej nie mieli z nią do czynienia.

Przez niemal całą drogę do domu Marcin pękał ze śmiechu, który w jego wykonaniu z niewyjaśnionych powodów przypominał szczekanie.

– Zadowolona? Bo ja tak. Lepsze niż niejeden kabaret i to za darmo! Większych bzdur dawno nie słyszałem.

– Przecież pokazała nam, jak to działa na żywo... – odparła Ola, ale jej głos też nie wyrażał jakiegoś szczególnego przekonania.

– Aha. Ale wiesz, że to była jedna wielka sztuczka magiczna? Wiesz, dlaczego pod koniec ostrzegła, żeby tego nie dotykać? Żeby komuś z publiczności nie przyszło do głowy podejść i tego sprawdzać. Ot, przez cały czas trzymała coś w ustach i w pewnym momencie wypluła. Efekt „wow!” osiągnięty! – Prowadzący samochód Marcin oderwał wzrok od drogi i spojrzał z dezaprobatą na żonę.

– Ale umowy dotrzymała. Nie musiałeś nic płacić. Dopiero po wszystkim, jak sam wypróbujesz.

– Ciekawe, jak mnie do tego zmuszą? To w sumie też bardzo interesująca kwestia. Dlaczego ona była taka pewna, że znajdzie się jeleń, który zapłaci jej za to z dołu i sam bez przymusu wykona przelew?

– Może dlatego, że to rzeczywiście działa i wdzięczni pacjenci dziękują jej w ten sposób za pozytywne zmiany, jakie zaszły w ich życiu?

– Zaczynasz pieprzyć dokładnie jak ona. Naprawdę w to wierzysz?

– Zamierzam przynajmniej wypróbować – odpowiedziała wymijająco Ola. W głębi jednak nadal nie wiedziała, co o tym myśleć.

Marcin spojrzał na nią dziwnie.

– Ty żartujesz teraz, mam nadzieję?

– W żadnym wypadku... – Ola zebrała się w sobie i odwzajemniła spojrzenie. Wytrzymała je bez najmniejszego mrugnięcia. Marcin westchnął, zacisnął dłonie na kierownicy i ponownie spojrzał przed siebie. Przez pozostałą część jazdy nie odezwał się nawet słowem.

Ola leżała w łóżku przy zapalanej lampce, z zamkniętymi oczami i rękami złożonymi na mostku, jak do modlitwy. Potrzebowała ciszy i skupienia. Po powrocie do domu natychmiast wypisała sobie na kartce wszystko, co zapamiętała na seminarium i czytała notatki tak długo, aż nabrała pewności, że zapamiętała je do ostatniego szczegółu. Coś chyba jednak robiła nie tak, ponieważ pomimo najszczerzych chęci i najsilniejszych starań, nie potrafiła doprowadzić do stanu, w którym rzeczywiście czuje w sobie tę czarną maź. Nie

poddawała się jednak i po prostu zaczynała cały ciąg od początku. Pierwszy, drugi, trzeci raz... Nie pozwoliła sobie na rozproszenie uwagi i nie otworzyła oczu nawet wtedy, gdy usłyszała, jak otwierają się drzwi do sypialni. Nie zareagowała też, gdy dobiegło ją ciche, kpiące prychnięcie Marcina. Na szczęście nic nie mówił, tylko położył się przy niej. Zaraz poczuła, jak sięga nad nią i wyłącza światło.

Nie przestawała próbować. Wkrótce jednak, wyczerpana psychicznie od ciężkiej pracy umysłowej, zapadła w sen.

Śniła o kolejnej małżeńskiej kłótni, kiedy obudził ją nagły atak kaszlu. Miała problemy z oddychaniem. Wciąż nie do końca przytomna, nie wiedziała, co się dzieje. Zaczęła panikować. Czym prędzej usiadła na łóżku i zaczęła coraz głośniejsze charczenie, ale na nic się to zdało.

Coś zalegało jej w gardle.

– Ma... Ma-cin?! – zawołała. Trąciła męża, który obudzony się, wyraźnie nie był z tego faktu zadowolony.

– Co jest? – zapytał.

Czuła, że nie potrafi nawet cokolwiek więcej powiedzieć. Bez słowa pokazała mu swoje plecy, ale ponieważ nie do końca rozbudzony Marcin nadal nic nie rozumiał i w obliczu jej agonii pozostawał bierny, błyskawicznie wstała z łóżka i pobiegła do łazienki. Uklękła przed sedesem i wydając z siebie głośne połączenie charczenia z żalnym zawodzeniem, usilnie próbowała pozbyć się z gardła tkwiącej w nim rzeczy.

– Co ci jest? – Marcin stanął w progu łazienki. Ola nie odpowiedziała, tylko po raz kolejny wskazała mu swój grzbiet. Wreszcie pojął, podszedł do niej i zaczął lekko uderzać. Spróbowała wziąć głęboki oddech przez nos, skupiła się i w końcu z przeraźliwie głośnym, mokrym kaszlnięciem wydalila przez usta to... coś. Z muszli klozetowej dobiegł cichy plusk.

– O Boże... – Ola odchyliła się od sedesu i usiadła na zimnych kafelkach, podpierając się od tyłu rękami. Uniosła głowę i próbowała się uspokoić, czyniąc głębokie wdechy. Tymczasem Marcin jak zahipnotyzowany wpatrywał się w pojedynczą kroplę czarnych plwocin, która w oderwaniu od większej grudki pozostawała na brzegu muszli.

Płynna, czysta, idealna czerń... Tak czarna, że nawet nie odbijała światła palącego się w łazience.

– To działa... – wydyszała w końcu Ola. Wciąż miała zamknięte oczy, od intensywnej

pracy płuc jej obfity biust na przemian to wznosił się, to opadał. Uśmiechnęła się promiennie do swoich myśli. – To działa, kochanie! Czuję się bosko! – zawołała. – Czuję się cudownie! – W mig wstała, doskoczyła do męża i ku jego zdziwieniu soczyście pocałowała go w policzek. – A mówiłeś, że to oszustka! Wszystko, co powiedziała, to prawda!

Marcin nawet jej nie słuchał. Nie odrywał wzroku od czarnej kropli. W ogóle się nad tym nie zastanawiając, podszedł do sedesu i dotknął mazi czubkiem palca.

– O kurwa! – wrzasnął, w sekundę dobiegł do umywalki, odkręcił wodę na najzimniejszy możliwy strumień i wsadził pod nią obolały palec. Maż doświadczyła go bowiem o bolesne oparzenie.

– A widzisz! Mówiła, żeby nie dotykać! – zaśmiała się głośno Ola. Wydawała się nienaturalnie pobudzona, jakby naćpana. Mała przygoda męża zdawała się nie robić na niej żadnego wrażenia. Podobnie to, co wydarzyło się wcześniej z jej udziałem. – Czekam w sypialni... – dodała zmysłowo i raz jeszcze pocałowała Marcina, tym razem w usta. Mokra i namiętnie. Odkleiwszy się od niego, oddaliła się, puentując to delikatnym, kokieterijnym drażnieniem mu przedramion czubkami palców. Marcin wzdrygnął się i pokrył gęsią skórką. Nie tylko w tamtych okolicach.

– Zaraz przyjdę... – odpowiedział średnio przytomnie. Podszedł do sedesu i raz jeszcze spojrział na pozostałość po czarnej kropli, której przed chwilą dotknął. Potem zaś na wciąż unoszącą się na powierzchni wody większą grudę mazi, która na jego oczach wydobyła się z gardła Oli. Z samą wodą nic się nie działo. Tajemnicza substancja nie powodowała wrzenia ani niczego w tym stylu, nie rozpuszczała się. Na koniec Marcin spojrział na czubek obolałego palca. Pojawiało się na nim pokaźne zaczerwienienie.

– Dobra, dość tego! – pomyślał i spuścił wodę. Bardziej po to, by nie kusilo go, żeby dalej się na to gapić.

Zgasił za sobą wszystkie światła i wrócił do sypialni. W swoich rozmyślaniach odpłynął tak daleko, że gdy Ola zaczęła się do niego dobierać, po prostu położył się na plecach i pozwolił jej odbębnić całą robotę. Choć tak dobrego seksu nie mieli chyba od czasów narzeczeństwa, nie pamiętał orgazmu. I chyba po raz pierwszy obyło się bez pozycji na pieska.

Kiedy po kilku razach rozpalona, ale szczęśliwa Ola wreszcie zasnęła, Marcin wstał i zaczął myszkować po pokoju. Wkrótce znalazł to, czego szukał. Karteczkę z instrukcjami,

które jego żona wypisała sobie po seminarium.

Czuł się idiotycznie. Wciąż nie mógł w to uwierzyć, ale... zobaczył to wariactwo na własne oczy i nie było sensu zaprzeczać faktom. Ta cała Bazia mogła zafundować im pokaz iluzjonistyczny, ale już w przypadku Olki prawdopodobieństwo takiego scenariusza znacznie, znacznie malało.

Marcin przeczytał wypisane instrukcje kilka razy.

– W sumie... Co mi tak naprawdę szkodzi...? – pomyślał.

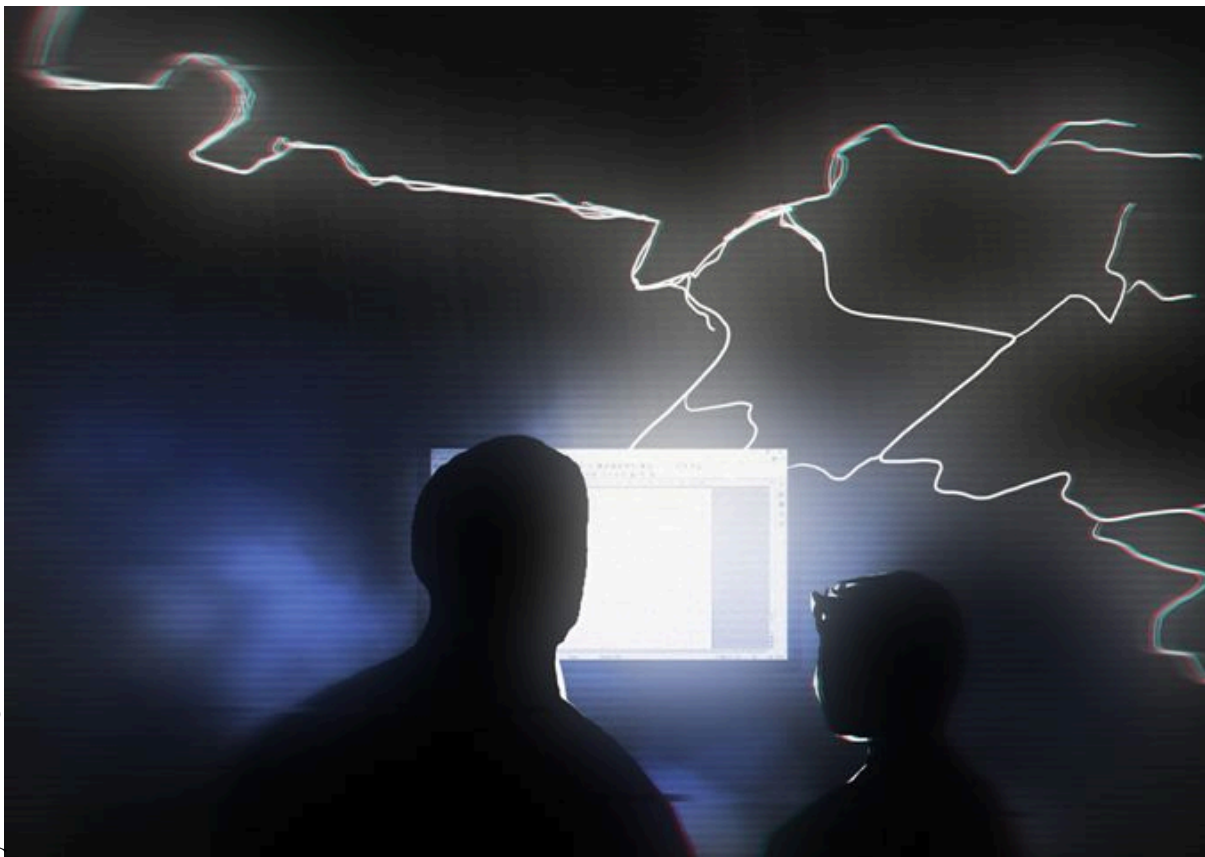
Odłożył karteczkę, zgasił światło, położył się obok żony i zamknął oczy. Nie próbował zasnąć. Bez przerwy mając z tyłu głowy pytanie „Co ja wyrabiam?”, pogrążył się w myślach o „tym dobrym, bożym pierwiastku, z którego powinien składać się każdy człowiek”.

Olę obudził dziwny odgłos. Jeszcze zanim otworzyła oczy, zeszywniała i nasłuchiwała.

Dźwięk rozlegał się bardzo blisko niej, po lewej stronie, tej samej, po której leżał Marcin. Przypominał pluskanie, jakby czynione przez osobę zażywającą błotnej kąpieli. Co gorsza – przemieszane z żalonym, bezradnym, przerażonym, bulgotliwym jękiem.

Uniosła powieki i kątem oka spojrzała w tamtą stronę.

Zobaczyła potężny, czarny, oślizgły kształt. Zobaczyła jego głowę, ręce i korpus. Nie należały jednak do Marcina. One próbowały się z niego wydostać.



NAPISZ DLA MNIE

Anna Musiałowicz

Chłopiec pojawił się przy mnie nie wiadomo skąd – jak zawsze. Przystanął za mną, niecierpliwym tupaniem zaznaczał swoją obecność, domagając się uwagi. Przez chwilę udawałem, że jestem zbyt zajęty, by go dostrzec. Uporczywie wgapiałem się w monitor, palce w nierównym rytmie stukały w klawiaturę. Na ekranie pojawiały się przypadkowe słowa, tworząc bezsensowne zdania. Mały rozpraszał mnie, choć i tak musiałem przyznać, że to nie był dobry dzień na stworzenie czegokolwiek. Zresztą już od ponad tygodnia nie potrafiłem wymyślić niczego na tyle interesującego, by warto było przelać to na papier. A raczej zapisać do pliku. Wena mnie opuściła. Ale każdego wieczora siadałem przed komputerem choćby na godzinę, by skrobnąć kilka słów i nie wyjść z wprawy. Nie nazwałbym siebie pisarzem, choć tu i ówdzie opublikowano jakieś moje opowiadania.

Wydałem nawet książkę, powieść obyczajową, która przeszła zupełnie bez echa. Kilka egzemplarzy kurzy się u mnie na półce, parę znalazło schronienie w domach moich przyjaciół, kto kupił pozostałe? Nie wiem. Zarobiłem kilka groszy, ale ledwie starczyły na zapłacenie rachunku za czynsz i energię. Raczej nie skojarzycie mojego nazwiska. Więc powtarzam, nie nazwałbym siebie pisarzem, raczej autorem kilku tekstów, a to moje pisanie to hobby, któremu oddaję się z uporem maniaka. I jeśli nawet gdzieś z tyłu głowy marzę, że kiedyś stanę się nawet nie tyle sławny, ile rozpoznawalny, priorytetem nie jest chwała nieśmiertelna, lecz chleb doczesny, na który pracuję, rozwożąc przesyłki w firmie kurierskiej. Ot, taki los.

Mały zaglądał mi przez ramię. Niemal mogłem poczuć na karku zimny dotyk jego ciekawskiego nosa.

– Co robisz? – zapytał. – Piszesz?

– Przecież sam widzisz – odburknąłem. Nie czułem sympatii do tego dzieciaka, ale nauczyłem się już z nim żyć. Był jak natrętna mucha, którą możesz przeganiać, a i tak usiądzie ci na środku czoła. Łaził za mną niemal wszędzie, czasami go złośliwie pytałem, czy do kibla też mam go ze sobą zabierać. Spuszczał wtedy tę swoją głowę, oczy wypełniały mu się łzami, usta wykrzywiały w podkówkę, a mi robiło się głupio. Więc pozwalałem mu siedzieć ze mną. Co dzieciak jest winny?

– A co piszesz? – Prawie wgramolił mi się na kolana. Czasem dzieliłem się z nim moimi przemyśleniami, opowiadałem, co też właśnie przyszło mi do głowy, jak potoczą się losy bohatera mojego opowiadania. On słuchał uważnie, robił skupioną minę, która za każdym razem mnie bawiła. Potem wygłaszał swoje mądrości, komentował, podpowiadał mi pomysły na rozwinięcie czy zakończenie akcji. Nie będę ukrywał, że nieraz mnie zaskoczył i wykorzystywałem jego koncepcje w moich opowiadaniach. Mały był niesamowity, muszę przyznać.

– Ech, nic ważnego. – Westchnąłem. – Jakoś dziś nie mam natchnienia.

– To napisz o mnie.

Już kilka razy prosił mnie to, czasem dla świętego spokoju skleciłem kilka zdań, żeby sobie poszedł i mi dalej nie przeszkadzał. W sumie i tak mi dzisiaj nie szło, więc kliknąłem w „nowy plik”, rozprostowałem się na krześle i spojrzałem pytająco na młodego.

– To co mam pisać?

– Napisz coś o mnie. Tylko zmień imię.

– W porządku. – Zacząłem wystukiwać litery na klawiaturze. – Był sobie, powiedzmy, że Szymek.

– Nie, nie Szymek.

– Piotruś?

– Też nie.

– To jak? – Jeszcze nie napisałem pierwszego zdania, a mały już zaczął działać mi na nerwy. – Przecież to tylko wymyślone imię. Nie ma znaczenia.

– Mówisz? – Mały zdawał się być nieprzekonany. Przyłożył palec wskazujący do ust, intensywnie się zastanawiając. – A może być Tadek?

– Tadek? A kto dziś daje takie imię dziecku?

– Przecież mówiłeś, że imię nie ma znaczenia.

– Dobra – Wypuściłem powietrze z ust. – Niech będzie: był sobie Tadek. Tadek był bardzo grzecznym chłopcem i miał dziewięć lat.

Mały znów się skrzywił.

– Ale czemu wypisujesz takie pierdoły? Zbywasz mnie.

Prawie się zakrztusiłem.

– Wcale cię nie zbywam. Po prostu nie wiem, czego ode mnie chcesz. O czym ma być ta opowieść?

– O mnie. Tylko z innym imieniem.

– No to piszę przecież!

– Ale tak ładniej.

– Jak ma być ładniej? – Uniosłem głos. Mały cofnął się o krok, przestraszony.

– Napisz tak, żeby ktoś inny mógł to przeczytać, nie tylko ja.

No tak, zapomniałem, że ten dzieciak jest mądrzejszy niż inne w jego wieku. Dokładnie wyczuwał moje humory, widział niuanse, dostrzegał zawoalowane treści, wiedział, kiedy mnie irytuje, kiedy mam ochotę, by znikł mi z pola widzenia. Nie żeby robił z tej wiedzy jakiś użytek, raczej nieudolnie starał się wówczas zmienić mi nastrój, co czasem mu się udawało. Był przekonujący, cwana bestia.

– No dobra, piszemy porządnie. Jak mam zacząć?

– Napisz coś o samotności.

Pochyliłem się nad klawiaturą, kątem oka zerknąłem na małego. Usta ścisnął w wąską linijkę. Był bledszy niż zazwyczaj. Denerwował się. Zależało mu.

– Samotność to taka straszna trwoga... – zacząłem.

– Ej – przerwał mi piskliwie. – To z piosenki! A to mają być twoje słowa.

Westchnąłem głęboko. W głowie miałem pustkę i ani pomysły o przygodach grzecznego chłopca Tadeka, ani wywody filozoficzne na temat samotności nie kłębiły się teraz

w mojej głowie, czekając, aż dam im ujście przez palce, przenosząc myśli za pomocą klawiatury, zamieniając je w megabajty, piksele, cokolwiek, co pozwoli przesyłać je dalej, by podzielić się z innymi swą wątpliwą jakością twórczością. Nicość. Neurony przestały stykać się ze sobą, synapsy nie przewodziły pomysłów. Mózg stał się jałowy. A chłopiec stał i czekał, niemal skacząc z niecierpliwości w miejscu, stukając przy tym palcem w biurko, jakby chciał mnie pospieszyć.

– Dziecko, no to czego ty ode mnie chcesz? Przecież widzisz, że nie mam dnia...

– Jest dzień! Zobacz za oknem, słońce wciąż świeci. A każdy dzień jest szansą, żeby napisać coś dobrego!

No tak, zażył mnie. Miałem mu odpowiedzieć, że każdy dzień jest również okazją, by spieprzyć coś niemożliwie, ale powstrzymałem się.

– To jak w końcu zacząć?

– A możemy najpierw wymyślić drugie zdanie? Potem wrócisz do pierwszego.

– Może tak będzie łatwiej. Tadek był bardzo interesującym chłopcem, mądrzejszym niż jego rówieśnicy, przez co często go nie rozumieli. Może być?

– Tak. – Mały kiwnął głową i przysunął się do komputera tak, że niemal przesłonił mi ekran. – A teraz napisz o tej samotności.

– Pomimo że otaczało go mnóstwo innych dzieci, czuł się samotny w grupie. Nie wszyscy potrafili go zrozumieć. Dobrze?

– Tak. Pamiętaj, że to ma być smutna opowieść. – Mały przysunął się jeszcze bardziej do mnie, opierając łokieć o moje kolano. Nie czułem jego ciężaru. Na białych policzkach pojawiły się lekkie rumieńce. Dobra, pomyślałem, skoro młodemu tak zależy, w końcu napiszę to, o co mnie prosi, raz a porządnie. Zaczęła we mnie wzbierać energia do działania.

– Chłopiec często był wyśmiewany z powodu swoich rudych włosów – pisałem dalej, odczytując na głos każdy wyraz, gdyż mały jeszcze nie nauczył się biegle czytać. Chciałem powiększyć czcionkę na komputerze, by było mu łatwiej, ale stwierdził, że wygodniej mu słuchać mnie. – Pomimo tego, że w słońcu lśniły jak złoto, inne dzieciaki częściej przyrównywały je do marchewki. Tadek nie miał łatwego życia w szkole. Wciąż był wyzywany od rzych łbów, wrednych i fałszywych szumowin. Nikt nie chciał z nim siedzieć w ławce, do pary wybierany był jako ostatni. I chociaż pani wychowawczyni nieraz go pocieszała i strofowała uczniów, dzieciaki za jej plecami dokuczały mu i robiły mnóstwo złośliwości.

Mały spochmurniał. Pod powiekami zebrały mu się łzy.

– Na pewno chcesz, żebym o tym pisał? – Zrobiło mi się go szkoda. Te wspomnienia nie były przyjemne, a nie chciałem go zasmucać. Takie rozdrapywanie starych ran nigdy nie jest dobre. Przeszłość trzeba zostawić za sobą, by dać miejsce przyszłości.

– Na pewno – odparł cicho, acz stanowczo. – Napisz o tym, jak mi wkładali robale do piórnika. I jak zamykali w toalecie.

– Dobrze. – Energia, którą jeszcze przed chwilą miałem w sobie, ulotniła się. Czułem się teraz jakoś tak dziwnie winny, jakbym sam był w klasie z tym dzieckiem i go dręczył. Młody opisywał mi swoje życie szkolne, a ja skrupulatnie spisywałem jego wspomnienia, zamieniając tylko imię. Dzieci są okrutne. Bardziej perfidne. Miałem wrażenie, że z każdym jego słowem na moje plecy spada ciężar. Pomysłowość i podłość dzieci przekraczała moje wyobrażenie. Spoglądałem na małego, przeżywałem wraz nim jego strach, szukałem dróg ucieczki przed oprawcami, chowałem się po kątach. Drżałem, gdy mnie zauważono, biegłem, gdy mnie goniono. Chłopiec mówił cicho, jednak im dalej toczyła się opowieść, tym jego głos był pewniejszy. Mówienie przynosiło mu ulgę.

– Napisz o Marcinie. Że chciał się zaprzyjaźnić – poprosił.

– To już ta historia z przedstawieniem? – Wiedziałem, do czego zmierza, jednak nigdy nie opowiedział mi wszystkiego. Nie znałem zakończenia.

– Tak, to już to. Napisz, że zbliżały się święta wielkanocne. Że mieliśmy wystawić drogę krzyżową.

– Kiedy pani od religii powiedziała, że klasa została wytypowana, by zaprezentować ostatnie chwile z życia Jezusa, każdy był podekscytowany. Najbardziej Marcin, któremu bardzo zależało, by zagrać samego Jezusa. Klasa Tadeka odpowiadała za ostatnią wieczerzę. Zaczęły się spekulacje, kto zostanie przydzielony do jakiej roli. Katechetka uznała, że zrobi tajne głosowanie. Najpierw jednak opowiedziała o wszystkich postaciach, które miały wystąpić w sztuce. Jezus, apostołowie, Maria Magdalena, bezimienni żołnierze, arcykapłani i inne anonimowe postaci. Każdy z chłopców chciał zostać apostołem, zasiąść przy stole z Chrystusem. Wyjątkiem był Judasz – co nie dziwne, nikt nie chciał zagrać największego zdrajcy w historii ludzkości. Pani zrobiła dziesięć minut przerwy i każdy mógł przemyśleć, kogo widziałby w jakiej roli, a potem swoją propozycję wpisać na kartce i wrzucić ją do koszyczka. Marcin pierwotnie nie został wybrany na Jezusa, lecz na świętego Piotra, ale że Jezusa wylosował akurat Piotrek z pierwszej ławki, chętnie się zamienili. Tadek nawet nie był specjalnie zdziwiony, gdy w udziale przypadła mu właśnie rola znienawidzonego Judasza. Katechetka jednak albo nie chciała zrozumieć rozpaczy chłopca, albo umyślnie pocieszała go,

tłumacząc, jak ważną był on postacią. W dodatku nadmieniła, że legendy o Judaszu mówią, że też miał rude włosy, więc Tadek nadawał się wręcz idealnie.

Spojrzałem na chłopca. Jego twarz przybrała zacięty wyraz. Znów zbladł tak, że niemal stał się przezroczysty.

– Wszystko w porządku?

– Tak, dobrze piszesz – odpowiedział, nie odrywając wzroku od monitora.

– Pytam, czy wszystko z tobą w porządku.

– A, ze mną. Ze mną jak zwykle. Pisz dalej.

Więc opisałem, jak to dzieci zaangażowały się w organizację przedstawienia, jak podniecone biegały na próby na przerwach, spotykały się po lekcjach, byleby wszystko wyszło idealnie, byleby publiczność powalić na kolana. Marcin faktycznie próbował nawiązać nic porozumienia z Tadkiem, gdyż bardzo zależało mu, by scena zdrady wyszła idealnie. Tak naprawdę Tadek czuł podskórnie, że koledze chodziło tylko o to, by zabłysnąć jego kosztem, by Judasz stał się jedynie nic nieznaczącym tłem dla wspaniałej gry Jezusa-Marcina. Jednak sympatia, którą teraz mu okazywano, była bezcenna, toteż Tadek cieszył się z każdego przyjaznego gestu. W końcu nieczęsto takie się zdarzały.

Przedstawienie zrobiło furorę. Publiczność, zwłaszcza ta składająca się z matek i ojców głównych aktorów, była zachwycona, w uszach Tadka jeszcze przez wiele dni rozbrzmiewały brawa. W dodatku po wszystkich dzieci nie odtrąciły go i były jakby mniej złośliwe, nieraz w zabawach podkreślając, że w końcu się na coś przydał i naprawdę spisał.

Radość z występu scalila klasę, że nawet wiele tygodni po przedstawieniu spotykali się, by na nowo odgrywać role, udoskonalać dialogi, a nawet wymyślać alternatywne historie, które mogły się w tamtych czasach zdarzyć.

– Koniec. – Odsunąłem się od biurka.

– Nie, jeszcze nie. – Mały nie ruszył się z miejsca.

– Mam dopisać, że wszyscy żyli długo i szczęśliwie? – prychnąłem.

– Opowiem ci zakończenie tej historii. Pisz.

Cóż miałem zrobić? Lekko wkurzony, bo siedziałem przed komputerem już ciut za długo, przysunąłem się do biurka, rozmasowałem kark. Pomyślałem, że powinienem skosić trawę, ale chłopiec był tak podekscytowany, że nie miałem serca mu odmówić. Zresztą nie znałem zakończenia. Napędzany słowami młodego, pisałem.

– Pewnego dnia Marcin przyszedł na podwórko i powiedział, że ma pomysł na zakończenie historii Judasza. Bo „zrobiliśmy” już zmartwychwstanie, wysłaliśmy świętego

Piotra na krzyż do góry nogami. Piotrek niemal skręcił sobie wtedy kark, ale wszystko skończyło się szczęśliwie i była kupa śmiechu...

– To też mam napisać? – wtrąciłem.

– Eeee... Napisz, ale jakoś tak ładniej.

Ubrałem przeżycia chłopca w słowa i spojrzałem na niego. Uśmiechał się do wspomnień. Jeszcze raz przeżywał zabawy, radosne chwile z rówieśnikami. Opowiedział o kilkunastu wersjach życia Marii Magdaleny, która po kolei zakochiwała się w każdym apostołe, nawet w Judaszu, ale w końcu stwierdziła, że miłuje tylko Jezusa. Nie mogli jednak, ku niezadowoleniu odgrywającej rolę Agnieszki, urządzić im ślubu. Łowili ryby, wygłaszali płomienne mowy, nawracając grzeszników. Zaangażowali się w to całymi swoimi dziecięcymi sercami. Nagle na twarzy chłopca pojawił się cień.

– Teraz napiszesz o historii Judasza.

– To smutna historia?

– Tak, to moja historia.

Za oknem zachmurzyło się. Zaraz zacznie padać, pomyślałem. Pal licha trawę. Skosi się jutro. Byłem ciekaw historii Tadka.

– Babcia Marcina opowiedziała mu, co się stało dalej z Judaszem. Jak pożałował zdrady Jezusa, jak chciał oddać srebrniki, jak rozpaczał i jak... Więc na nowo wycięliśmy z tektury monety i owinęliśmy je w folię aluminiową. Poprzednie srebrniki gdzie zgubiłem, co chłopacy mieli mi za złe, ale nie ukarali mnie za to. Więc chodziłem, płacząc i zawodząc, rzucałem im się do kolan, żeby im oddać kasę i żeby zwrócili Jezusa. Marcin stał z boku i patrzył, czy dobrze odgrywam rolę. Dawał wskazówki, ale głównie chwalił, że dobrze mi idzie. Chłopaki wysoko unosili głowy, odwracali się do mnie tyłem. A ja jęczałem i błagałem u ich stóp. Mogli pluć w moją stronę, ale tak, żeby nie trafić. Nie zawsze ślina szła obok, czasem dostałem, a oni się wtedy śmiali. Trochę było mi przykro, ale wiesz, przedstawienie musiało trwać. A potem, jak nakazał Marcin, wdrapałem się na to drzewo. Pomogli mi zawiązać sznurek na szyi, a potem dobrze okręciliśmy go wokół gałęzi drzewa. Wiesz przecież, jak Judasz umarł. Sznurek Marcin wziął z domu, to był taki od wieszania prania, bardzo mocny.

Oderwałem ręce od klawiatury. Poczulem, że serce mi bije w przyspieszonym rytmie, a żołądek się kurczy.

– Coście zrobili? – wykrztusiłem. Zimny dreszcz przeszedł mi po plecach.

– Skoczyłem z tego drzewa. Tak się bujałem, a oni próbowali mnie zdjąć. Bolało mnie, dusiłem się, chciałem zerwać sznurek z szyi, ale nie mogłem. Chłopaki krzyczeli, ale tego nie było w scenariuszu.

Mały nie-Tadek, nie-Judasz uśmiechnął się do mnie szeroko. Zaczął przytupywać w miejscu radośnie.

– To była jazda! Wiesz, ilu ludzi się zbiegło? Ale mnie to już nie obchodziło.

Siedziałem jak wryty, na przemian patrząc to na ekran monitora, to na młodego. Palce mi drżały. Co ten dzieciak mi opowiadał? Chłopiec uściśnął mnie i pocałował w policzek. Chłodne usta musnęły moją skórę.

– Dzięki! To właśnie moja historia. W końcu ją spisałeś. Lecę na dwór się pobawić.

– Dokąd? Zaraz będzie burza. Nie słyszysz, jak grzmi? – Wciąż w szoku, usiłowałem myśleć rozsądnie.

– Zerwał się wiatr. Pobujam się na drzewie.

Zobaczyłem, jak mglista postać rozwiewa się w biegu. Miał tyle energii w sobie, tyle... życia?

– A kiedy odejdziesz? Tak na zawsze.

Rozmyte kształty na powrót stały się postacią chłopca. Odwrócił się do mnie. Ryża czupryna zdawała się płonąć. Uśmiechał się, iskierki tańczyły mu w oczach.

– Nigdy. Przecież byłem Judaszem, nie rozumiesz? Jestem potępiony.



POJMANY

Jacek Nowak

Sam nie był do końca pewien, czy właśnie się obudził, czy też odzyskał przytomność. Kiedy jego zmysły zaczęły ponownie prawidłowo odczytywać warunki, w jakich tkwił od niewiadomo jak dawna, zaczął skłaniać się ku tej drugiej opcji. Krzesło, na którym siedział, było twarde i niewygodne, a oparcie nie sprawiało wrażenia solidnego. Kiedy tylko napierał na nie obolałymi plecami, wydawało głośny, nieprzyjemny odgłos sprzeciwu, a zarazem

ostrzeżenia, że w przypadku ponownego natarcia intruz runie na posadzkę. Przejechał językiem po opuchniętych wargach i wyczuł nieprzyjemny smak zaschniętej krwi. Bolał go prawy policzek, zaś pole widzenia prawego oka zdawało się być jakby węższe niż powinno. Nie bez wysiłku skierował głowę w dół i spojrzał na skrępowane grubym szorstkim sznurem ręce i nogi. Czuł mocny ucisk na nadgarstkach i łydkach. Nawet gdyby podjął próbę oswobodzenia się, była ona skazana na niepowodzenie. Oprawcy połamali mu kciuki. Przypomniawszy sobie wszystko. Druga opcja zwyciężyła.

Podniósł głowę i rozejrzał się po pomieszczeniu, które przywodziło mu na myśl piwnicę w bloku świętej pamięci babci Anieli. Ściany charakteryzowały się nierównościami, podobnie jak zimna podłoga, na której trzymał bosc stopy. Przy jednej ze ścian stał stary regał, na którego dwóch półkach leżało kilka brudnych słoików i butelek po koniaku. Pozostałe półki były puste, wszelkie zapasy zostały zapewne dawno temu wyniesione na górę i nikt nie pofatygował się, by poczynić nowe. Po przeciwległej stronie dostrzegł maleńkie okienko, teraz zabite deskami i zakratowane, niegdyś służące z pewnością do zrzutu węgla. Fragmenty ścian i posadzki w tym kącie wydawały się ciemniejsze niż w pozostałych miejscach, ale nie miał absolutnej pewności, gdyż słabe światło bijące ze zwisającej mu tuż nad głową gołej żarówki mogło nie ukazywać otoczenia takim, jakim było ono w rzeczywistości. Powiódł wzrokiem od tego umorusanego kąta w stronę swoich stóp i mniej więcej na środku szlaku zobaczył kilka spróchniałych, leżących niedbale desek, tworzących kiedyś coś w rodzaju zagrody na węgiel, teraz zaś stanowiących dodatkowy ponury element i tak ze wszech miar ponurego wystroju wnętrza. Chciał spojrzeć za siebie, na ścianę, w której musiało znajdować się wejście, ale nie był w stanie tego uczynić. Gdy tylko spróbował, głowa rozboleła go w niewyobrażalny sposób, toteż zaniechał dalszych starań. Cały czas czuł w ustach nieprzyjemny posmak krwi i stwierdził, że jeśli niebawem ich nie przepłucze, to oszaleje. A może to po prostu zwykłe pragnienie? Potrzeba wiania w siebie choćby kilku kropel wody. Nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło, kiedy ostatni raz dostał coś do picia.

– Jest tu kto? – zawołał najgłośniej jak mógł, ale jemu samemu okrzyk wydał się cichy. – Muszę się napić – dodał po chwili, jeszcze ciszej. Chciał nawilżyć wargi językiem, ale ten też wydawał mu się suchy jak nigdy dotąd.

Nabrał powietrza, stęchłego, wilgotnego powietrza i w tym samym momencie usłyszał, jak jeden ze słoików uderza denkiem o drugi. Powiódł wzrokiem na regał i za zielonkawą butelką wypatrzył obrzydliwy, długi szurzy ogon. Nigdy nie bał się gryzoni, ale w tych niecodziennych okolicznościach obecność szczura była nieszczerólnie interesującym dodatkiem do całości.

– Chryste, to jakiś koszmar – wymamrotał pod nosem. – Jest tu kto?

Nic. Przejmująca cisza. I tylko ogon zniknął znienacka z pola widzenia. Jego właściciel musiał przemieszczać się bezszelestnie. Oczami wyobraźni więzień ujrzał stworzenie wdrapujące mu się po związanych nogach w stronę tułowia. Patrzące w jego twarz i pokonujące kolejne centymetry w jej kierunku. Widział siebie usiłującego zrzucić szczura, ale czyniącego to nieudolnie. W końcu zobaczył szczurzy pysk na wysokości własnego nosa i...

Mdle światło zamigotało. Żarówka jakby na chwilę odmówiła posłuszeństwa. Usłyszał, jak wewnątrz przezroczystej bańki coś syknęło.

– Nie, kurwa, nie teraz. Nie teraz! – krzyknął, tym razem naprawdę głośno i wstrząsnął całym ciałem jak cierpiący na arachnofobię człowiek na widok ogromnego włochatego pająka chodzącego po jego ramieniu.

Zamigotało jeszcze kilka razy, po czym wszystko wróciło do pierwotnego stanu. Zatem jeszcze nie teraz. Zostało trochę czasu, zanim pomieszczenie spowiją egipskie ciemności. Wiedział doskonale, że to kwestia czasu. Może godzin, może minut. A wtedy... Kto wie, ile szczurów czai się w piwnicznych zakamarkach... Ile pajaków o pokaźnych jak na polskie standardy rozmiarach, ośmielonych mrokiem, wychynie z niezliczonych kryjówek i rozpocznie wędrówkę w kierunku ciepła...

Siedział skrupowany na twardym krześle i miotał się niczym zwierz w sidłach zastawionych przez kłusownika. Ból stawał się nieznośny, pragnienie także. Uświadomił sobie, że to jednak pragnienie, nie żadna chęć zniwelowania posmaku krwi. Chciał ponownie utracić przytomność, ale wycieńczony i poddany ogromnej dawce stresu organizm uparcie odmawiał.

– Policja! – zawołał i wybuchnął obląkańczym śmiechem, uświadomiwszy sobie absurd wezwania. Śmiał się długo i głośno. Śmiał się jak człowiek tracący zmysły. Nic w tym stęchłym pomieszczeniu nie odpowiedziało na śmiech. Raz tylko na regale błysnęły szczurze ślepia, a butelka po alkoholu nieznacznie zmieniła swe położenie. Jej szyjka skierowała się w jego stronę jak lufa karabinu w potencjalną ofiarę.

– Ratunku! Policja! – Podjął następną próbę.

Kilka minut później światło zgasło. Został sam w ciemności. Przynajmniej taką w tym wszystkim miał nadzieję.

Kiedy poczuł sierść muskającą jego prawą nogę, bliski był zawału. Zaczął desperacko i na oślep machać związanymi kończynami, byle tylko spłoszyć natrętnego gryzonia. Ostatecznie udało mu się przegnać szczura, ale nie mógł mieć pewności, że nie nastąpi kolejna próba podejścia.

Był pewien, że chwilę wcześniej znów stracił przytomność. A pierwsze, czego doświadczył, odzyskawszy ją, to dotyk ogoniastego ssaka. Otworzył oczy i patrzył w mrok. Całkowity, nie pozwalający dostrzec choćby zarysów znajdujących się w pomieszczeniu przedmiotów. Pomachał głową, co kolejny raz sprawiło mu ból.

– Pić... – wymamrotał.

Na regale znów zderzyły się słoiki. Poczul dreszcz na całym ciele. Odwrócił głowę w kierunku, z którego pochodził charakterystyczny dźwięk i ujrzał kilka par czerwonych ślepiów groźnie spozierających w jego stronę.

– Idźcie w cholerę jasną, skurwysyny! – krzyknął.

– Nigdy nie podobał mi się język, jakiego używałeś i, jak słyszę, nadal używasz, Jakubie – padło z drugiej strony piwnicy.

Dreszcz wzmógł się. Ten głos rozpoznałby zawsze i wszędzie, tyle lat go słyszał, że na zawsze zakotwiczył w jego pamięci. I choć od śmierci babci Anieli minęło osiem lat, barwa jej głosu nadal w nim żyła. Bał się spojrzeć w stronę, z której dotarły do niego słowa, ale koniec końców uczynił to.

Stała przy okienku do zrzutu węgla, cała w białej poświacie rozświetlającej niewielką przestrzeń wokół niej. Stała taką, jaką ją zapamiętał, kiedy widzieli się po raz ostatni, zgarbioną, wątłą, pomarszczoną, bezbronną...

– Babcia? Przecież to niemożliwe! Przecież ty nie żyjesz!

– Jak ty ładnie do mnie mówisz, „babcia”. Aż dziw bierze, że w myślach zawsze byłam dla ciebie starym babskiem. Ale to nieważnie, ważne, że...

– To się w głowie nie mieści. Rozmawiam z duchem. Ja rozmawiam z duchem! Możesz mi pomóc się stąd wydostać? To twoja piwnica, prawda?

– Moja, nie moja, jakie to teraz ma znaczenie?

– Jak to nie ma zna...

– Nic nie mów. Zawsze żyłeś na krawędzi, zawsze z pogardą patrzyłeś na słabszych od siebie, zawsze byłeś pewny swej nieomyślności i nietykalności. No i... przeliczyłeś się,

doigrałeś. Pamiętaj, że jeden z tych, którzy tutaj zaraz przyjdą, jest rozwścieczony jak byk podczas corridy.

– Ale przecież nie on jest od tego, żeby wymierzać sprawiedliwość! Ja chcę na policję, przed sąd, gdziekolwiek, byle nie tutaj.

– Trzeba było myśleć o tym zanim przekroczyłeś wszelkie granice. Nigdy nie myślałeś o konsekwencjach i teraz los zakpił z ciebie w podwójny sposób. Zostałeś schwytany i uwięziony nie przez tych, którzy nie tknęliby ciebie w wymiarze fizycznym. To, co spotkałoby cię później, za kratami, to już inna bajka. Twój problem polega na tym, że wpadłeś w ręce tych, dla których jesteś diabłem w najczystszej postaci, diabłem, nad którym posiadają przewagę siły. Wiesz dobrze, Jakubie, że nie znalazłeś się tutaj dla okupu albo w wyniku mafijnych porachunków. Choć o porachunkach na innym gruncie jak najbardziej można mówić.

– Babciu, przysięgam...

– Brzydę się tobą, Jakubie, zapamiętaj to raz na zawsze! Raz na zawsze! Raz na zawsze! – Uśmiechnęła się. Błysnęły rzędy trupio białych kłów i wystawiła w jego kierunku ręce zakończone długimi szponami. Jej oczy były czerwone, tak samo jak u tych przeklętych szczurów, które akurat pochowały się w piwnicznych szczelinach, jakby celowo pozwalając upiorowi zagrać przez chwilę pierwsze skrzypce.

Zmusił się, by zamknąć oczy i zamasyżycie, pomimo bólu, pomachać głową. Kiedy po dłuższej chwili otworzył je, po zjawie nie było śladu. Znowu rządziła wszechobecna ciemność, zakłócana sporadycznie błyskiem kilku par czerwonych ślepiów oraz cisza przerywana jedynie od czasu do czasu słabym odgłosem turlania się słoików i butelek.

– Oszaleję tu, oszaleję! – znów zaczął miotać się na krześle, które, sprowokowane ruchem, zaprotestowało drażniącym uszy skrzypnięciem.

Usłyszał dźwięk przekręcanego w drzwiach klucza. Gdzieś tam, na korytarzu, rozległ się szmer.

Oprawców było trzech. Wysocy, dobrze zbudowani mężczyźni, którzy nawet nie zadali sobie trudu włożenia na głowy kominiarek. Mogło to oznaczać tylko jedno.

Zanim zdążył się im uważnie przyjrzeć, jeden zrzucił go z krzesła na zimną posadzkę, drugi wymienił żarówkę, a trzeci, nadal stojący w drzwiach, nucił pod nosem refren „Where the wild roses grow” duetu Nick Cave i Kylie Minogue.

Gdy w pomieszczeniu rozbłysło wreszcie światło, dwóch osiłków chwyciło go za przepoconą i zakrwawioną koszulę i ponownie posadziło na krześle. Po chwili stali przed nim we trójkę, równo jak dzieciaki na zbiórce przed lekcją wychowania fizycznego. Który z nich był jej ojcem? Tego nie mógł stwierdzić z całą pewnością, ale kiedy jego oczy ponownie zaczęły przyzwyczajać się do jasności, uznał, że najprawdopodobniej to ten stojący w środku. Najniższy z całej trójki, choć wcale nie niski, facet o szerokich barach miał w rysach swojej twarzy coś, co w jakimś tam stopniu upodabniało go do tamtej dziewczyny. I te jego oczy, w tych właśnie oczach dostrzegł zwierzęcą wściekłość. Dwaj pozostali mieli co prawda wypisaną na swych twarzach złość, ale w ich przypadku była ona jakby bardziej... subtelna. Co nie zmieniało faktu, że gdyby ten w środku spękał, byłiby w stanie wykonać decydujący ruch. Krótko mówiąc, tkwił po uszy w gównie.

– Nie macie prawa – rzekł trzęsącym się głosem. Sam trząsał się jak galareta.

Prychnęli jak na zawołanie.

– Przyniesiesz? – zapytał ten w środku jednego z kompanów.

Ten bez słowa wyszedł z piwnicy i wrócił po upływie kilkunastu sekund z półlitrową butelką wody mineralnej. Położył ją u stóp więźnia, który powiódł za nią błagalnym wzrokiem.

– Zasada jest prosta – zaczął środkowy. – W kieszeni kurtki mam pięć pudełek po zapalkach. Jedno pudełko za jedną ranę. W każdym z nich znajduje się kartka, na której zapisałem sposób twojego uśmiercenia. Nie chcę cię okłamywać i mówić, że śmierć będzie bezbolesna, ale na pewno szybsza niż w przypadku, gdybyś odmówił udziału w zabawie.

– Pierdol się.

– Jeśli nie wskażesz żadnego pudełka – kontynuował niewzruszenie oprawca — wówczas będziemy podtrzymywać cię przy życiu tak długo, jak tylko się da. Oczywiście gdybyśmy się tobą nie zaopiekowali, umarłbyś z pragnienia za mniej niż dobę. Ale my, w swej nieskończonej dobroci, napoilibyśmy cię, żebyś przypadkiem zbyt szybko nie odfrunął. I czynilibyśmy to przez najbliższe dni, tygodnie, aż w końcu padłbyś z głodu, wycieńczenia... Może któryś z nas zbyt mocno by ci przyłożył. Albo w końcu zżarłyby cię żywcem szczury.

– Może nie zdążyście. Może mnie uratują – wymamrotał pojmany, starając się nie patrzeć na żadnego z nich.

– Istnieje takie prawdopodobieństwo, owszem. Bierzemy to pod uwagę. Ale potraktujmy to jako dodatkowy smaczek całego przedsięwzięcia. Zresztą, może wcale nie będzie tak źle.

– Jesteście chorzy.

– Jesteśmy zdesperowani. Z chorobą nie ma to nic wspólnego. – Nadal mówił spokojnie, co niezwykle mocno kontrastowało z wściekłością bijącą z jego oczu. Wyjął pudełeczka i ułożył je w rzędzie przed stopami schwytanego człowieka. – Masz dziesięć sekund na decyzję. Albo wybierzesz któreś z pudełek, albo siłą wlejemy ci do gardła trochę wody, żebyś nam nie odleciał. Potem na nowo dostaniesz po mordzie i złamiemy ci następne dwa palce, powiedzmy, serdeczne. Na koniec wykręcimy żarówkę i zostawimy cię tu na następne dwadzieścia kilka godzin.

– Pierdol się!

– Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem...

– Pierdol się!

– Sześć, pięć, cztery...

– Wy dwaj też się pierdolcie!

– Trzy, dwa, jeden...

– Pierwsze z lewej! Mojej lewej!

– Rozsądna decyzja. Nasze gratulacje. – Przykucnął i podniósł pudełeczko. – Chwila napięcia, chwila nerwów. A może, żeby emocje były większe, otworzymy najpierw te pudełka, których nie wskazałeś. Co wy na to, chłopaki?

Skinęli.

– Świetnie. Zatem po kolei. – Schylił się i podniósł pudełko, które jeszcze przed momentem sąsiadowało z wybranym przez uwięzionego. — Co my tu mamy... Spalenie żywcem. Dawniej, w czasach inkwizycji, w ten sposób karano dziewczyny, które rzekomo weszły w konszachty z diabłem. A tu proszę, minęło kilka stuleci i niewiele brakło, aby paru zwykłych facetów, nie żadnych inkwizytorów, spaliło diabła we własnej osobie. Ale bądźmy wierni zasadom gry. Nie wybrałeś tego rodzaju śmierci. Poniekąd szkoda.

– Jesteście nienormalni...

– Kolejne pudełeczko. Kara tysiąca cięć. Jeszcze w dziewiętnastym stuleciu dość powszechnie stosowana w Chinach, później wycofana, bodaj na początku dwudziestego wieku. Skazańcowi, w pewnych odstępach czasowych, odcinano poszczególne części ciała. Mogło to trwać kilka, nawet kilkanaście godzin. Oczywiście aż do momentu śmierci. Nie wybrałeś. Też szkoda. A sól trzeba będzie spożytkować inaczej.

Więzień zaczął poważnie zastanawiać się, czy nie popełnił błędu, wybierając tę niby szybszą śmierć. Może faktycznie koniec nastąpiłby wcześniej, ale jeśli kolejne pudełka

zawierały równie makabryczne sposoby uśmiercania, to jego sytuacja nie była godna pozazdroszczenia.

Zwiesił podbródek i cicho zaszlochał.

– Co mamy w następnym? Miażdżenie głazem. Głazami gwoli ścisłości. I wreszcie w ostatnim pudełeczku, na które się nie zdecydowałeś... O, przepiłowanie. Oczywiście od strony krocza. Ta kara byłaby akurat najbardziej adekwatna, biorąc pod uwagę to, co zrobiłeś, ale kierujmy się ustalonymi przez obie strony regułami. Czas na punkt kulminacyjny.

– Po co to pieprzenie? Przecież i tak wiesz, co jest w ostatnim, psycholu zasrany!

Mężczyzna wyciągnął z pudełka zwiniętą w rulon karteczkę, na której wypisał wcześniej (raczej na pewno on, bo któżby inny?) jedną z możliwości pozbawienia skazańca życia.

– Kocia łapka. Zdzieranie skóry z ofiary, mówiąc konkretniej. Zatem, drodzy panowie, wszystko jasne. Początek egzekucji za piętnaście minut. Zgodnie z obietnicą działamy szybko. Na tyle, na ile to możliwe w tym przypadku, ma się rozumieć.

Skrępowany więzień przestał szlochać. Wiedząc, co go czeka, rozplakał się jak dziecko, któremu w piaskownicy niegrzeczny kolega zabrał najlepszą zabawkę.

– Dlaczego? – płacząc, rzucił pytanie. — Dlaczego, do jasnej cholery? Nie ty, nie wy jesteście od sądenia! Nie wy macie wymierzać kary!

Wiodący prym oprawca przykucnął powoli w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą leżały w rzędki pudełka po zapalniczkach. Spojrzał uwięzionemu prosto w twarz. Na oko miał około czterdziści pięć, może pięćdziesiąt lat. Na wydatnych policzkach nosił ślady po przebytej w dzieciństwie ospie. Rzadki kilkudniowy zarost, bardziej pasujący do nastolatka niż do dojrzałego mężczyzny, z pewnością nie dodawał mu uroku.

– Widzisz, są na świecie grzechy, za które każda pokuta wydaje się zbyt łagodna. Ty popełniłeś jeden z takich grzechów. To, że za chwilę zmienisz się nie do poznania, jest twoją i tylko twoją decyzją. Decyzją, jaką podjąłeś w momencie, gdy zacząłeś gwałt na mojej córce. Decyzją, na której przybiłeś pięć pieczęci w chwilach, gdy dziurawiłeś nożem jej klatkę piersiową. Bach, bach, bach, bach, bach. Pięć ciosów, które ostatecznie doprowadziły Kingę, tak jej daliśmy na imię, do śmierci. Miesiąc przed tym, jak ją zabiłeś, świętowaliśmy jej siedemnaste urodziny. Chciała zostać lekarką, wiesz? Pediatrą. Leczyć dzieci i walczyć z ich bólem. Była dobrą dziewczyną. I nie przestała nią być także w tym, tak zwanym, trudnym wieku. A ty mi ją zabrałeś.

– Wiem, żałuję, ale...

– Gówno wiesz i gówno prawda, że żałujesz. — Nadal mówił spokojnie, prawie usypiająco. – I nie ma żadnego „ale”.

– Pójdziecie do pierdla.

– Moja żona zmarła kilka lat temu, a więc zabijając Kingę zabrałeś mi ostatnią osobę, dla której chciałem prowadzić normalne życie. Czy myślisz, że zależy mi jeszcze na czymkolwiek? Czymkolwiek poza twoją śmiercią?

– Wy pójdziecie za współudział!

– Oni są w podobnej sytuacji do mojej. Jemu – wskazał mężczyznę stojącego po jego prawej stronie – zabił córkę jej kolega ze studiów. Żona z rozpaczy powiesiła się w domu chwilę po ceremonii pogrzebowej. Gnój odsiaduje dożywocie, utrzymywany przez podatników, więc poniekąd także przez ojca ofiary. Czyż to nie makabryczny paradoks? Morderca żyje na koszt osoby, której raz na zawsze odebrał dziecko! On – wskazał drugiego z mężczyzn – wychowywał córkę sam, żona wyjechała do Anglii do pracy i tam ułożyła sobie życie od nowa. Jedyna córka zginęła w wyniku wypadku spowodowanego przez napranego gościa, dla którego jezdnia okazała się zbyt wąska. Wjechał najpierw w nią, później w przydrożne drzewo. Ona zginęła na miejscu, pijak w szpitalu, po krótkiej walce o życie. Widzisz, tym dwóm zależy na wolności tak samo, jak mnie. Ale dość gadania, czas na czyny.

– Chcę uczciwego procesu!

– A ja chcę, żeby dziś wieczorem Kinga zjadła ze mną kolację. Panowie!

Mężczyźni ruszyli w kierunku więzienia, podnieśli go z krzesła i wywlekli na korytarz. Zobaczył go po raz pierwszy, wcześniej, zanim tu trafił, nałożyli mu na oczy opaskę. W ścianach obskurnego, ciemnego korytarza znajdowało się kilkoro drzwi. Zanim jednak miał przekonać się, jakie niespodzianki kryją poszczególne pomieszczenia, wyciągnęli go na zewnątrz. Tam dopiero, po mknącym leniwie w stronę horyzontu słońcu mógł określić prawdopodobną porę dnia. Musiało być około osiemnastej. Dni były już dość ciepłe i długie, jak na schyłek kwietnia przystało. Z okolicznych drzew dobiegał kojący ptasi śpiew. Powietrze, nie zawierające jeszcze choćby pierwiastka duchoty, aż prosiło się, by głęboko nim oddychać. Jakże różniło się od tego, które nabierał do płuc w tej pieprzonej piwnicy.

W niewielkiej odległości od szarej, popękanej ściany opustoszałego bloku, którą kwiat okolicznej młodzieży przyozdobił lata temu za pomocą farby w spreju wulgarnymi napisami, skazaniec dostrzegł stos gałęzi ułożonych na planie koła i wznoszących się na wysokość około dwóch metrów. Nie widział, ale przypuszczał, że w środku, pomiędzy gałęziami znajdowało się zagłębienie, w którym wylądowałby, gdyby wybrał „właściwe” pudełko po zapalkach.

– Niemало czasu zajęło nam zbieranie tych zakichanych gałęzi – odezwał się zniecka mężczyzna, któremu córkę zabił jej kolega. Były to pierwsze słowa, jakie padły z jego ust przy więźniu. Miał przyjemną barwę głosu. – Ale czego nie robi się dla przyjaciół?

Pojmany popatrzył chwilę na stos, po czym ponownie został zaciągnięty do budynku. Bose stopy powłóczyły po zimnej i nierównej posadzce piwnicznego korytarza, ale nie to było teraz największym problemem. Po drodze zaczął wołać o pomoc, ale jeden mocny cios w brzuch skutecznie odebrał mu ochotę na dalsze okrzyki. Zresztą któż mógłby go usłyszeć w tym opuszczonym przez Boga i ludzi miejscu? Chyba tylko duchy i szczury. Kiedy znaleźli się przed najbliższymi drzwiami, herszt oprawców, ojciec tej całej Kingi, otworzył je na oścież, wymacał kontakt i zapalił w pomieszczeniu światło. Na środku stał drewniany słup, a obok niego stół, na którym lśniły najróżniejszej wielkości noże i tasaki. Kara tysiąca cięć. Te skurwiele były przygotowane na każdą ewentualność. Skazaniec wpatrywał się w ostre przedmioty, które swym blaskiem zdawały się czynić mu wyrzuty, że nie wybrał ich jako elementów pomocniczych uśmiercenia.

W sąsiednim pomieszczeniu, do którego dotarcie zajęło im najwyżej kilkanaście sekund, gwałcieł i morderca, Jakub Struś, który nigdy nie miał stać się oskarżonym Jakubem S., zobaczył wyłożony deskami fragment podłogi. Z czterech stron wylaziły metalowe zaczepy na solidnych łańcuchach, mające podtrzymać ofiarę za rozłożone kończyny. Obok tej prowizorycznej podłogi leżały trzy głazy, podniesienie których wymagało nie lada wysiłku i zaangażowania ze strony więcej niż jednej osoby. Oczami duszy ujrzał, jak ci trzej psychole podnoszą ciężar, a na ich czołach występują grube żyły. Głośno dysząc i szczerząc zęby, kładą pierwszy głaz na brzuchu unieruchomionej ofiary, która podejmuje skazane na klęskę próby oswobodzenia się i uniknięcia okrutnego samosądu...

Nim wizja zmiżdżenia ulotniła się z obolałej głowy, mężczyźni zdążyli zawlec więźnia do kolejnego pomieszczenia. Wystrój piwniczki nie zaskoczył go kompletnie niczym. Ujrzał dokładnie to, czego ujrzyć się spodziewał. Nie jeden, a dwa słupy, do których skazaniec miał zostać przywiązany w rozkroku za nogi. O jeden ze słupów oparta była piła ręczna dwuosobowa z ostrymi jak szczęki rekina zębami. Tego, co mogło go tutaj spotkać, wołał sobie nie wyobrażać i odganiał od siebie tę myśl jak odgania się natrętną muchę w gorący lipcowy dzień.

I wreszcie znaleźli się w ostatnim pomieszczeniu, w tym, w którym nastąpić miał samosąd. Brutalny, nieludzki samosąd, zainspirowany bogatym repertuarem dawnych tortur... Ale czy trzęsący się z przerażenia Jakub Struś, którego bijące w oszalałym tempie serce bliskie było rozerwania klatki piersiowej i wyskoczenia na zewnątrz, zdawał sobie

sprawę, jaki ból zadał swym czynem ojcu niewinnej Kingi? W zaistniałych okolicznościach zapewne oddałby wszystko, by cofnąć czas i raz jeszcze na spokojnie zastanowić się, czy warto... Czy gdyby wiedział, że jej ojciec okaże się szybszy od policji, pozwoliłby sobie na niewybaczalny grzech, za który właściwą karą może być jedynie śmierć w męczarniach? Czy w obliczu okrutnych mąk, wrzeszcząc i miotając się na wszystkie strony, zrozumiał swój błąd, czy też po prostu do głosu doszedł jedynie tkwiący w każdym z nas instynkt przetrwania? Trudno ocenić, wiadomo tylko, że każdy czyn, prędzej czy później, spotka się z konsekwencjami. Los bywa przewrotny, a i pojęcie sprawiedliwości od czasu do czasu wymyka się sztywnym paragrafom.

– Jesteście psychologami! Pieprzonymi psychologami!

Pomysłodawca całej akcji, ojciec zamordowanej Kingi, stanął naprzeciwko wydzierającego się skazańca, którego podtrzymywali w pozycji pionowej dwaj mężczyźni o kamiennych spojrzeniach. W słabym świetle gołej żarówki dało się zauważyć na ich skroniach pojedyncze kropelki potu. Wszyscy byli już zmęczeni. Ten, który za chwilę miał zostać obdarty ze skóry, zaciskał zęby i szczyrzył je, co przywodziło na myśl obląkańczy uśmiech. Gdy oprawca chwycił go za brodę, splunął mu krwią prosto w twarz.

– Nie polepszysz tym swojej niegodnej pozazdrosczenia sytuacji, kolego – rzekł spokojnie mężczyzna, przecierając policzki, na których pozostały czerwone smugi. – Ani nie polepszysz, ani nie pogorszysz.

– Puśćcie mnie!

– Niech dokona się zemsta. Panowie!

Chwilę później wrzask związanego skazańca oznajmił wszędobyłskim szczyrom początek katongi. Już pierwsze pociągnięcie specjalnych grabi wywołało niesamowity ból, który w zastraszającym tempie rozszerzał swój zasięg. Zerwany z pleców płat skóry zwiślał bezwładnie jak suszący się na sznurku ręcznik w bezwietrzny upalny dzień. Grabie znów powędrowały w górę.

Nieludzka kara za nieludzki czyn.

Strach za strach.

Ból za ból.

Śmierć za śmierć.

www.kostnica.com.pl

KOSTNICA

POZORNIE MARTWA STRĘPA

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA



www.kostnica.com.pl

RECENZJE
OPOWIADANIA
GALERIE
NOWOŚCI
KONKURSY
FILM
KSIĄŻKA
GRA
KOMIKS

ARTUR URBANOWICZ

GRZESZNIK

Zło bierze się z egoizmu



 www.gmork.pl



 lubimyczytać.pl

 BookHunter.pl

 MOZAIKA
LITERACKA

 WB
WIELKIBUK.COM
LITERACKI BLOG
ROKU 2015

 GRABARZ.NET

 OKIEM
NA HORROR

 artofreading.pl

CZĘKAM NA
APOKALIPSE
ZOMBIE

MISTERIUM GROZY

GAZETA
WSPÓŁCZESNA

NIEBYWAŁE SUWAŁKI



rys. Zvyrke

PRÓŻNE ŻALE

Iwona Urbańczyk

Nagły dźwięk dzwonu przeszył jej umysł. Jego wibracje rozeszły się po ciele, wprawiając każdy mięsień i ścięgno w stan trwoźnego napięcia. Śnieg skrzypiał pod ciężkimi buciorami, krok za krokiem. Formowane nimi wgłębienia tworzyły ścieżkę, dobrze widoczną nawet po zmroku. Kozuch pachniał sianem i wilgocią, teraz również słodkim potem. Za zakrętem wiecznie zapłakana wierzba rozcapierzyła łysawe witki, choć przecież nie ma już takich drzew na żadnym z zakrętów, przynajmniej tak jej się wydawało. Wieczny smutek ma w sobie coś heroicznego i poddańczego zarazem.

Podeszła pod sam las, który o tej porze roku był namiastką cmentarza. Wszystko tu spało, między konarami wiało pustką i melancholią. Pod zbutwiałą korą i na wpół zgniłymi liśćmi wygrzebała niedużą jamę. Ułożyła w nich kosteczki, jedna obok drugiej, ciasno,

skrupulatnie. Dziwiła się, że było tak cicho, jakby uroczyście. Wcale nie chciała słyszeć własnego oddechu, przyspieszonego od wysiłku. Spojrzała na swe zabrudzone ręce. Pod paznokciami mokra ziemia potworzyła czarne obwódki.

– Żona grabarza musi nieustannie szorować dłonie – pomyślała praktycznie.

Kość o kość się ociera. Nóż ślizga się po ścięgnach, twardych, oblepionych białawą błonką. Resztki zaschniętej krwi wyciera w fartuch, jak przystało na dobrą gospodynię. Zagląda do spiżarni cuchnącej pleśnią. Nigdy nie miała serca do tego, by utrzymywać tu należyty porządek. To pomieszczenie zawsze kojarzyło jej się z bezgłośnym rozkładem. Odłożyła kosz z pociętymi równo kawałkami mięsa i zamknęła drzwi na skobel.

Nim przyszedł wieczór, wpadła w popłoch. Zupa wrzała na palenisku, po izbie rozchodził się zapach ziół, kapusty, zasmażki i ciepłych oparów domowej strawy. Pies zaczął ujadać zaciekle, a po chwili wewnątrz futryny zalał wielki cień.

Było już południe, gdy usłyszała gdakanie przepłoszonych perliczek. Wiedziała, co to znaczy. Chwyciła miotłę i stanęła za węglem.

– Aua, nie bijcie – wyjęczał chłopak od Frączków, pocierając czerwieniejący kark.

– Znów zachciało ci się darmowych jajek, łobuzie? Niedoczekanie twoje! – wrzasnęła Zuzanna, próbując znów się zamachnąć.

– Da pani kilka? Taki jestem głodny – skamlał kilkuletni wyrostek.

– Nie dam! A mnie ktoś daje? – zapytała z drwiną kobieta. – Niech ci matka z ojcem dadzą. Od tego są.

– Przecież wie pani, że nie dadzą, bo sami nie mają. A nawet jakby mieli, to wolą na wódkę przetracić – tłumaczył się.

– Co z tego, że wiem? Mam cię karmić?

– Ja tak tylko mówię. – Dziecko opuściło głowę z rezygnacją, a Zuzannie po raz pierwszy zrobiło się go żal. – Chodź. Dam ci miskę kartofli. Ale nie myśl sobie, że będziesz się u mnie stołował – powiedziała oschle.

Od tamtej pory przychodził prawie codziennie. Machał łyżką szybko, jakby się bał, że zaraz zabiorą mu sprzed nosa talerz. Kobieta spoglądała na płową grzywkę zasłaniającą mu

oczy, gdy pochylał się nad stołem, dziwiąc się, że coś spod niej widzi. Doszła do wniosku, że i tak jest mu wszystko jedno, byleby się najeść, nim dostanie po głowie. Jadł w pośpiechu, gotów podskoczyć do góry na dźwięk otwieranych drzwi czy skrzypnięcie podłogi.

– Dostawał w skórę nie raz – pomyślała Zuzanna, ale to przecież nic nadzwyczajnego na wsi. – Każdy dźwiga jakiś krzyż. Człowiek nawet nie wie, ile może wytrzymać.

Samotność rani do szpiku kości. Mijają dni, miesiące i lata, a samotna stagnacja przetrąca kolejne kręgi w kręgosłupie, przygniata do ziemi. Zuzanna szybko przestała być młoda. Nie miała na to czasu. Została sama z małym gospodarstwem, gdy wojna zabrała jej rodziców. Chłopcami nigdy się nie interesowała. Nauczona samodzielności przez ojca, który chciał mieć syna, od dzieciństwa przyuczała się do wszelkich prac – rąbania drewna, koszenia trawy, wstawiania wyłamanych ząbków w grabiach. Cięższe obowiązki, jak oranie i redlenie pola, za niewielką opłatą wykonywał sąsiad. Pomagał wielu we wsi, przecież nie każdego stać było na konia i solidny pług.

Każdy jej dzień wyglądał podobnie, wstawała skoro świt, rozpalala pod kuchnią, wstawiała wodę i ziemniaki dla kur, zlewała pomyje dla świń, przerzucała siano dla krów, potem je doila. Izbę sprzątała późnym rankiem, najpierw bardzo starannie, z upływem lat coraz pośpieszniej, bo po co, aż w końcu jej dom zaczął przypominać obejście starego kawalera. Gdy nastawiała obiad, była już zmęczona. Nie przyrządzała niczego specjalnego, wystarczyły jej gotowane kartofle z okrasą, byle zjeść coś ciepłego. Resztki wynosiła psu. Popołudniami szła do lasu po suche gałęzie, które taszczyła po śniegu w wielkiej płachcie. Latem najmowała kogoś z wozem, by przywieźć większe chojaki. Popołudnia schodziły na drobnych naprawach sprzętów, wieczory na cerowaniu wysłużonych ubrań i rozdzielaniu słodkiej i kwaśnej śmietany.

Jeszcze niekiedy patrzyła w niebo, słuchała odgłosów z dalekich przestrzeni, wiatru znad pól, dźwięków zapadającej w sen wioski. Wiedziała, że poddała się zbyt szybko. Wsiąkła w tę jątrzącą się bylejakością okolicę i rutynę zachowań bez protestu. Chyba nie potrafiła być z ludźmi, tak po prostu, wołała zamknąć się w sobie, na cztery spusty, na amen, bez dostępu powietrza. Zapominała z wolna, jak wydobywać z siebie głos, dobierać słowa, odpowiadać na zwykłe pytania. Umierała każdego dnia, chwiejąc się jak podcięte drzewo, spychając w najciemniejszy kąt wszystkie te trwożne – a gdyby...

Przeczuwała jego nadejście. Dostrzegała znaki dużo wcześniej nim się zjawił – poukładane w dziwne konstrukcje szczapy drewna, nerwowe gdakanie kur, pod którymi znalazła kukulcze jajo, rozsypany wokół domu popiół. Oczekiwała go niecierpliwie, choć domyślała się, że kiedy przyjdzie, wszystko się zmieni.

W kościele było tylko kilka osób. Wybrała dzień powszedni i popołudniową porę, żeby nie natknąć się na zwyczajowy korowód cieni – ładnie ubranych, z przyklejoną maską wysublimowanej czy raczej wystudiowanej niedzielnej świętości. Gdy włożyła palce do święconej wody, coś jak ukłucie przeszło jej dłoni. Cofnęła ją szybko i oblizła krople krwi.

Świece ustawione przed ołtarzem rzucały na wnętrze słabe światło. Ten rozmodlony półmrok zdawał się odłączać duszę od ociężałego ciała w rejon, gdzie istniała tylko ludzka wina. Jej wina. Oczy ukrzyżowanego Chrystusa przewiercały ją na wylot, jakby nie istniała żadna bariera, żadna ściana, mur, okowa, poza którymi mogłaby się schować. Bo nie istniała. A jej dusza była brudna, zaniedbana i godna politowania. Ale nie było w niej skruchy. Był za to żywy gniew.

Był wynędzniały i nosił łachmany. Zwyczajny chłop ze wsi – ze skrzywioną od mrozu twarzą, z niedopałkiem w ustach, w człapiących gumofilcach.

– Co jest na obiad? – zapytał po prostu, jak gdyby był tu od zawsze. Może rzeczywiście tak było?

– Jak zwykle, kartofle ze skwarkami – odpowiedziała tonem, który zbyt wyraźnie przypominał tłumaczenie się.

– Musisz się bardziej starać, opraw mięso – rozkazał, rzucając pod jej nogi jakieś niezidentyfikowane ochłapy. – Przyjdę za kilka dni. Bądź gotowa. To dopiero początek. Przyuczę cię – obiecał na odchodne z szyderyczym grymasem ust.

Leżała na podłodze, nie mogąc się ruszyć. Skrobiny z ziemniaków rozsypały się po całej powierzchni, otaczając jej postać symboliczną aureolą. Słyszała jedynie powolne tykanie

zegara i bzyczenie wszechobecnych much. Gdzieś za oknem nadal trwało życie, zwyczajne i bezsensowne, jak co dzień. Nie miała już sił, by walczyć. Nie chciała już walczyć. Chciała poddać się temu, zrobić coś naprawdę, nim ujdzie z niej cała wiara, pokruszona, okaleczona niemocą.

Obudziła się zrana z potem. Czuwała do świtu. Wiedziała już, że musi nakarmić przybysza.

Romek pomógł jej poukładać szczepy drewna pod szopą, napoić krowy, przegrabić siano. Łaził za nią jak źrebak za kobyłą przez godzinę, czasem dwie, a potem zniknął. Policzki mu się zaokrągliły, skóra nabrała zdrowego wyglądu, zyskał krzepę. Ale płochliwy był tak samo jak wcześniej. Nieraz widziała czerwone pręgi na jego szyi, nadgarstkach, podbite oko czy rozciętą wargę.

– Ojciec cię sprął? – zapytała, gdy syknął głośno, próbując ostrożnie włożyć łyżkę w pokrwawione usta.

Spojrzał na nią z ukosa, zaczerwienił się i kiwnął głową. Wbił wzrok w talerz.

– Ten twój stary to nicpoń i leń. I jeszcze na dziecku się wyżywa. A matka nie broni cię przed nim?

– Matka? – wymówił Romek niepewnie. – Czy mnie broni przed ojcem? – Przegryzał te myśli razem ze skwarkami, jakby jadł je pierwszy raz w życiu. – Nie, nie broni. Sama też potrafi przyłożyć, jak nie ma już co pić. Albo śpi. Albo... – Zawahał się, czy warto wspominać, co robi matka z sąsiadami, by zarobić pieniądze, więc nic nie powiedział.

– Nie masz lekko, mój mały – skwitowała, zamyślając się, skąd się jej wzięło to „mój mały”.

Romek zeszywniał cały, napiął się jak struna, a po chwili jego plecy poczęły lekko drżeć.

Następnego dnia już nie przyszedł, choć wyjątkowo nagotowała cały gar bigosu. Zuzanna miała jak najgorsze przeczucia. W nocy prawie nie spała. Gdy tylko zmrużyła oczy, śniły jej się koszmary – krople krwi, skrzypiące przeraźliwie deski podłogi pokrytej strzępkami skóry. Patrzyła na siebie samą, jakby z góry, spod powały, jak leży na tej podłodze i nie może się ruszyć.

Pokazał jej, gdzie zakopać ich kości. Był większy, bardziej okazały niż zapamiętała. Zresztą nigdy nie przyglądała mu się uważnie, nie śmiała. Ułożyła gnaty starannie, na starej płachcie, tak, by przypominały krzyż, choć Frączkom było już wszystko jedno. Potem splunęła na nie z odrazą. Nie każdą świętość trzeba traktować dosłownie. Teraz to wiedziała. Wbiła szpadel w ziemię i przykryła wszystko grubą warstwą piachu, kępki trawy zostawiając na koniec. Tylko z bliska widać było różnicę.

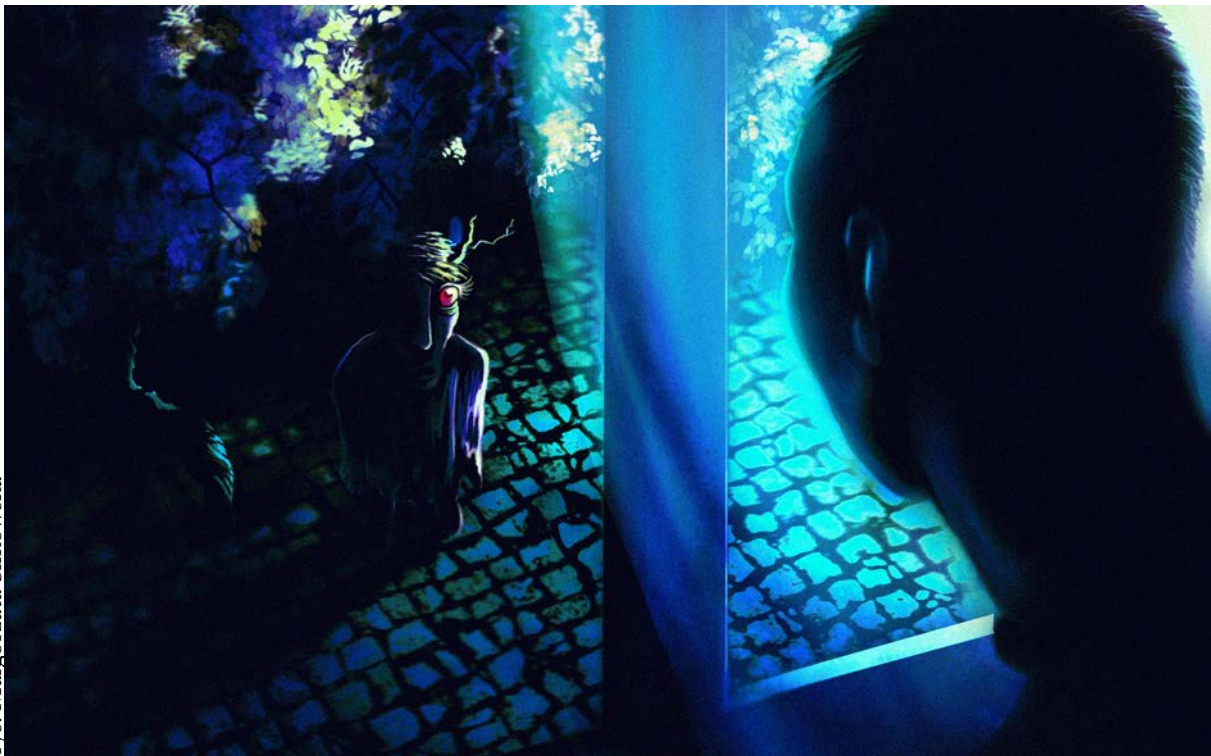
– Za kilka dni trawa się rozrośnie – pomyślała i uśmiechnęła się pod nosem.

Gdy skończyła, jego już nie było. Ostry zapach spalenizny rozwiął się po kilku minutach. Jedyne dłonie ciągle miała brudne, ale z tym pogodziła się już wcześniej.

Zaniosła kwiaty na grób chłopca. Te same, które rosły nad rzeką. Lubił tam chodzić, puszcząć łódki z kory, ganiać kaczki, marzyć o lepszym losie. Na prostym nagrobku wyryto kilka liter. Zuzanna patrzyła na nie z mieszaniną gniewu i rezygnacji. Zaczął padać deszcz.

– Próżny żal – wyszeptala ni to do siebie, ni to do zachmurzonego nieba. Jej słowa rozsypały się jak ziarno oddzielone od plew.

Wieczorem wyszorowała dokładnie podłogę. W miednicy wypełnionej mętniejącą wodą odbiło się czyjeś oblicze.



PRZEKLEŃSTWO

Jakub Filipkowski

Jestem przeklęty. Wiedziałem o tym już w momencie, w którym pulsująca świadomość istnienia wlała się w mój umysł. Początkowo traktowałem to znamię, mające mi towarzyszyć przez całe życie, jako dar. Czułem się wyjątkowy, brzemień nie przynosiło wiele szkody. Dopiero z upływem czasu zdałem sobie sprawę z przerażającej groteskowości mojej egzystencji. Stawałem się coraz bardziej wykluczony z normalnego funkcjonowania, aż w końcu stale narastające poczucie zagrożenia zasiało trujące ziarno w mojej psychice. Postanowiłem wyrzucić z siebie pozerającego od środka pasożyta, jakim jest niewyjawiony sekret. Początkowo niebezpośrednio – poprzez sztukę. W ten sposób paradoksalnie największa bolączka mojego życia pozwalała mi na nie zarabiać. Trzeba było jednak w końcu przedstawić moje utrapienia w sposób konwencjonalny. Nikt nie uwierzył. Sprowadziło to jeszcze więcej kłopotów.

Obecnie, pisząc te słowa, widzę szansę na oczyszczenie imienia. Sytuacja, która może

do tego doprowadzić, nie należy do najbardziej przyjemnych, jest jednak świadectwem mojej krzywdy i niewinności, a przynajmniej uwalnia mnie od win, których ciężar położyli na moich barkach ludzie za sprawą swoich osądów. Samo udowodnienie prawdy kryjącej się w mrokach znanych do tej pory wyłącznie mnie samemu nie jest jednak satysfakcjonujące. Choć czuję, że goni mnie czas, to wiem, że muszę przedstawić tę historię w całości. Chcę ukazać cały kontekst mej opowieści, byście wy, czytelnicy, mogli poczuć smród mojego strachu, a także słony smak łez wylewanych w trakcie wołań do Boga o zakończenie mej męki. Chcę, żeby wszyscy którzy wydali już na mnie wyrok, mogli zrozumieć, w jak wyjątkowej i tragicznej sytuacji znajdowałem się przez większość mojego ponurego życia.

Każdy z nas ma zestaw kilku pierwszych wspomnień, które trwale zapisują się w pamięci. Niejednokrotnie czas, doświadczenia i próby analizy wpływają na ich obraz. Te błyski przeszłości bardzo często przepełnione są zmysłowymi doznaniem – zapachem, smakiem, dźwiękiem. Tak jak bohater *W poszukiwaniu straconego czasu*, który skojarzył zapach magdalenek ze swoim dzieciństwem, co było motorem jego rozliczenia się z całą swoją przeszłością. Ja pamiętam późne popołudnie. Stojąc przy blacie stołu, sięgającym ponad moją głowę, obserwowałem mamę wałkującą ciasto. Przygotowywała poczęstunek dla rodziny, bo następnego dnia była rocznica moich narodzin. Zapach mąki i słabe światło kuchennej lampy zlewały się w senny nastrój błęgiego oczekiwania na tak ważny dla mnie dzień. Mama spojrzała na mnie swoimi ciemnymi oczami i odgarnęła kruczoczarne włosy – jak zawsze wytapirowane i nienagannie ułożone.

– Co tam, synku? – zapytała z uśmiechem.

– Ile godzin zostało jeszcze do imprezy?

– Jeszcze trochę, dziecko, może dwanaście.

– Ale ja już nie mogę wytrzymać – odparłem z dziecięcą bezradnością w głosie.

– Zajmij się czymś, a potem idź spać. Czas szybciej minie. – Na twarzy kobiety pojawiło się życzliwe zrozumienie, może nawet lekkie rozbawienie.

Wtedy, w trakcie sięgania po wałek, ukłuła się nożem w palec. – Widzisz? – podniosła nieco głos – Stoisz tu i patrzysz mi na ręce. Zobacz co sobie przez ciebie zrobiłam. Idź już.

Nie bardzo pamiętam huśtawkę emocji, którą musiałem wtedy odczuć. Być może radość z nadchodzących urodzin przeważała i nie zmartwiłem się tak bardzo. Z pewnością jednak musiałem czuć się winny. To, co bardziej istotne tamtego dnia, to rzecz, która nastąpiła kilka chwil później. Poszedłem do swojego pokoju o ścianach pokrytych plakatami sportowców i całą flotą klejonych modeli samolotów na półkach. Przez okno zobaczyłem jego – chłopca z wydłużonym nosem, skórą pokrytą jasnymi włosami i dwiema naroślami na

głowie. Był chyba nagi, ale nie widziałem dokładnie, bo podwórze skrywał już mrok. Stał pod moim oknem i patrzył w nie, jakby wiedział, że zaraz pojawię się za szybą. Większość dzieci nie ma problemu z wyglądem rówieśników, może dlatego, że dopiero uczą się norm estetycznych. Mnie wygląd dziecka nie dziwił ani wtedy, ani nigdy później, bo z jego obrazem byłem oswojony od samego początku. Nie czułem lęku, raczej pewną dozę sympatii do dziwacznej postaci wpatrującej się we mnie wielkimi czarnymi oczami. Pamiętam, że miał w sobie coś zwierzęcego. Jak szczeniak albo młode jakiegoś egzotycznego stworza, będące bohaterem filmów dokumentalnych tak przeze mnie wtedy lubianych.

Chłopak stał się moim towarzyszem. Widywaliśmy się często, zachowywaliśmy jednak duży dystans – fizyczny i werbalny. Kiedy udawałem się na pierwsze wycieczki, odkrywać okoliczne lasy, on chodził ze mną. Nigdy nic nie mówił, ale ja też nie lubiłem za dużo gadać. Czułem jego sympatię i z jakiegoś powodu wiedziałem, że z nim nic mi nie grozi. Denerwowało mnie tylko, że czasem widywałem jego postać gdzieś na skraju zasięgu wzroku, często w porach nocnych albo kiedy jeździłem na zakupy z mamą. Nie wiedziałem, gdzie mieszkał ani kim byli jego rodzice. Myślałem, że jest bardzo biedny, bo specyficznie woniał i mógł być na dworze kiedy chciał, tak jak inne dzieciaki z domów, w których nie było zbyt wiele pieniędzy. W końcu dostrzegłem, że nocne spoglądanie w moje okna i nietypowy wygląd milczącego przyjaciela są niepokojące.

Powiedziałem o tym mamie, ale nie przejęła się. Wypytywała o niego, bo oczywiście nigdy go nie widziała. Podejrzewam, że zebrane przez nią informacje spowodowały, iż myślała o chłopcu jako o moim zmyślonym przyjacielu. Takie rzeczy są częste wśród dzieci. Poza tym mieszkaliśmy na obrzeżach miasta, gdzie osiedle dopiero się budowało, było tu tylko kilka domów i nie miałem żadnych rówieśników. Nieopodal były mieszkania socjalne, ale z chłopakami stamtąd nie mogłem się bawić. Oni też prawdopodobnie nie mieliby na to ochoty. Czasami obrzucali mnie kamieniami i próbowali zabierać zabawki. Mama jednak zaczęła się niepokoić o moje zdrowie psychiczne, kiedy zauważyła, że budzę się nocami i, wpatrując w okno, na wpół nieprzytomny staram się dać znać przyjacielowi, by odszedł. Zaprowadziła mnie do psychologa, który zdiagnozował depresję psychotyczną. Pamiętam, że często potem płakała i chyba była na mnie zła. Ja często wymiotowałem i musiałem leżeć w łóżku, bo nie miałem siły na zabawę.

Towarzysz mojej niedoli prawdopodobnie martwił się moim stanem. Kiedy obserwował, jak biorę leki, kręcił głową, mruzczał i chrząkał. Ostatecznie zacząłem je wyrzucać i wszystko wróciło do normy. Mamie mówiłem, że już się z chłopcem nie spotykam. Nie chciałem być dla niej problemem. Bieganie po lasach i prace dookoła domu,

w którym byłem jedynym mężczyzną sprawiły, że wyrosłem na dużego i silnego nastolatka. Brak przyjaciół wymusił na mnie czytanie książek i oglądanie albumów z fotografiami obrazów – musiałem zająć czymś czas, a okoliczne lasy poznałem już tak dobrze, jak zna się własny dotyk. Sam stałem się milczący jak cień, który podążał za mną przez cały czas. Zaczęłem więc pisać historie o wielkich podróżach i odważnych bohaterach, których łączyła surowa męska przyjaźń. Samotność i brak kontaktu z rówieśnikami sprawiły, że zacząłem bać się fizycznej bliskości. Na zajęciach ze sportu panikowałem, kiedy uprawialiśmy gry drużynowe, więc zacząłem symulować bóle brzucha. Wprawdzie doznawałem czułości ze strony matki, ale zwykle było to w momentach, kiedy była smutna albo wcześniej na mnie nakrzyczała. Nie były to przyjemne sytuacje, przestałem więc o to zabiegać. Oczywiście pozwalałem na pocałunek czy kulturowo narzucony uścisk, ale i to z czasem zaczęło mnie przerażać. Tajemniczy chłopak dorastał ze mną. Klatka piersiowa wysunęła mu się dziwnie do przodu, a narośle na czole zaczęły wyglądać jak małe gałązki. Był sporo większy ode mnie, a jego wygląd coraz bardziej różnił się od powierzchowności innych dzieci.

W wiosnie życia samotność zaczyna doskwierać najbardziej, bo w spodniach pojawiają się nowe, nieznane wcześniej doznania, a dziewczyny, które były nam wcześniej obojętne, nagle zaczynają wyglądać inaczej, choć przecież nie zmieniają się znacząco. Za blond włosami i błękitnymi oczami zaczynamy dostrzegać jakąś tajemnicę, którą chcemy odkryć nie wiedząc dlaczego, będąc jednocześnie w stanie poświęcić bardzo wiele dla jej zgłębienia.

Nasze podróże do lasu zaczęły układać się w stałe ścieżki. Okazało się, że obrzeża średniej wielkości miast potrafią skrywać przepiękne miejsca – świerkowe knieje, dębowe doliny czy brzozowe aleje. Przyjaciel mój krążył wokół mnie, skacząc pomiędzy jednym drzewem a drugim, zwykle jakieś pięćdziesiąt metrów obok mnie, a chwilami kroczył wąską ścieżką tuż obok, tak, że mógłbym chwycić go za zdeformowaną dłoń. Na jednym z codziennych wypadów utrwalających w pamięci znany nam układ ścieżek spotkaliśmy dziewczynę. Jej rude włosy i zielone oczy wpatrujące się we mnie z lekkim przestraczem prosto z piegowatej twarzy, rozciągniętej przez dwie kanciaste policzkowe kostki zapadły mi w pamięć na tyle, że następnego dnia o tej samej godzinie zwiedzaliśmy ten sam obszar. Nikogo nie spotykaliśmy. Byłem pewien, że moją sympatię o wyglądzie celtyckiej bogini spotkam tydzień później. Pomimo wymownych parsknięć i stęknęć mojego jedyne go przyjaciela powtarzałem tę trasę regularnie. Intuicja moja była mylna. Długo chodziłem jak struty. Wszyscy czytelnicy, którzy zakochali się w książkowej postaci, zdjęciu albo

wyimaginowanym wrażeniu literackiego bohatera rozumieją, co mam na myśli. To nigdy się nie ziści. Ja jednak byłem przeklęty i być może Bóg chciał się ze mną zabawić. Znów zwiedzałem z moim towarzyszem okoliczne lasy. Wciąż jednak miałem na względzie, że środa jest dniem poszukiwań pięknej rudowłosej nieznajomej, której efemeryczny obraz w mojej głowie kazał zapamiętać, który z dni tygodnia wyznacza potencjalne spotkanie z nią. Za trzecim razem, kiedy środa oznaczała spacer po świerkowym ciemnym lesie, wiedziałem, że właśnie dla tej istoty chcę żyć. Tego dnia uśmiechnęła się do mnie jak sklepikarka, która po raz czwarty chce być ci winna grosik. Skinąłem jej głową, starając się nie okazywać, jak potężne emocje mną targały, na co ona odpowiedziała tym samym, a kiedy minęła mnie, obejrzała się jeszcze, podnosząc kąciki swych ust. Człowiek tak zgubiony w swoim własnym niewielkim obszarze urojeń i marzeń o zwykłej rozmowie z dziewczyną, która nie będzie go odpychała swoją urodą, musiał zwariować na jej punkcie. Musiał się zakochać.

Od tamtej pory nimfa, ku mojemu zdziwieniu, przychodziła do tego samego ciemnego świerkowego gaju w każdą środę po południu. Najpierw nieśmiało się przywitałem i zapytałem, czy mogę się do niej dołączyć na spacerze. Później za każdym razem ilość wypowiedzianych słów, które starałem się chłonąć całym sobą jak tonący powietrze, zwiększała się. Czuliśmy się w swoim towarzystwie coraz bardziej naturalnie. Alicja, bo tak się nazywała, zupełnie tak samo jak jej książkowa imienniczka była dla mnie częścią innego świata i raz na siedem dni pozwalała mi ten świat razem z nią odwiedzać.

– Całowałaś się kiedyś? – zapytała mnie słodkim swoim głosem pewnego dnia, gdy słońce w kolorze oranżu tonęło powoli w nocnym pośłaniu.

To pytanie bardzo mnie zaskoczyło. Cieszyłem się z możliwości bycia blisko mojej ukochanej, ale kontakt fizyczny do tamtej pory tylko sobie wyobrażałem, co zresztą owocowało wyrzutami sumienia, bo przecież była to obraza jej czci. Mocno spanikowałem.

– N-n-nie – potrafiłem tylko odpowiedzieć.

– A chciałbyś?

– Pewnie. – Widziałem, że nieznacznie przekrzywia głowę, by przygotować się do pocałunku. – Ale muszę już iść, bo mama będzie na mnie krzyżeć. – Uciekłem jak tchórz, zostawiając moją ukochaną kruchą istotę wśród drzew, których cienie wydłużały się już coraz bardziej i za chwilę miały całkiem zniknąć.

Matka rzeczywiście krzyczała, bo z jakiegoś powodu nie tolerowała dziewczyny. Nawet z perspektywy czasu nie potrafię określić dlaczego. Alicja była grzeczna, schludna i bardzo kulturalna. Kiedy jednak matka pierwszy raz nas zobaczyła, zabroniła mi się z nią spotykać. Oczywiście kontynuowałem nasze spacerowanie, ale po kryjomu, chociaż zawsze, kiedy

wracałem po zmroku dostawałem burę.

Tydzień po moim żenującym ataku paniki na szczęście Alicja znów się pojawiła. Nie wspominała o incydencie. Początkowo wyczuwałem, że nie do końca wie jak się zachować, ale po kilkudziesięciu minutach wszystko wróciło do normy.

Chłopak, który zawsze mi towarzyszył, przestał teraz przebywać ze mną tak często. Myślałem, że jest trochę zazdrosny. Kiedy już z rzadka spotykaliśmy się, szedł daleko za mną, wtedy jednak zupełnie nie przejmowałem się nim. Byłem zaślepiony pierwszym, nie do końca zrozumiałem uczuciem. Na pewno śledził mnie i moją ukochaną. Ona oczywiście nic o tym nie wiedziała. Raz powiedziała:

– Czasami wydaje mi się, że ktoś chodzi za nami krok w krok. Słyszę głos i czuję spojrzenie, ale kiedy się obracam, nikogo nie ma.

– Nie martw się, las jest tajemniczy, nigdy nie będziemy się w nim czuć do końca pewnie. Może dlatego tak go uwielbiamy?

Alicja uśmiechnęła się, widziałem jednak, że jej nie przekonałem.

Pamiętam, że nastał w końcu dzień, w którym nasza relacja przestała się pogłębiać. Dziewczyna była trochę znudzona moimi opowieściami o drzewach, które mijamy i bohaterach, których nigdy nie będzie nam dane spotkać. Podskórnie wyczuwałem, że pragnie jakiejś deklaracji, jakiegoś ruchu, który wprowadził by tę znajomość na inny poziom. Długo przygotowywałem się do tego ruchu, a jedyne, a jedyne na co potrafiłem się zdobyć to próba pochycenia jej za rękę. Któregoś razu zupełnie zaniechałem matczyne zakazy i poprosiłem Alicję, byśmy posiedzieli dłużej. Wiedziałem, że tej nocy będzie można obserwować spadające gwiazdy. Kiedy pierwszy raz po granatowym niebie spłynęła biała łza, oblałem się potem. Powoli zacząłem przesuwając swoją dłoń w kierunku jej – bladej jak księżyc oświetlający scenę naszej miłości. Kiedy uświadomiłem sobie już, że jest to nieodwracalne, w przyływie emocji postanowiłem pójść o krok dalej. Zacząłem przysuwać, strachliwie, swoją twarz do jej lica. Wiedziała o co chodzi. Wtem, potężnie brzmiący dźwięk kopyt rozległ się gdzieś w pobliżu. Słyszeliśmy, jak łamią się grube gałęzie. Coś wielkiego zataczało coraz mniejsze kręgi wokół nas. Wybrzmiał potężny ryk, przeszywając nas na wskroś i poruszając najgłębsze pokłady strachu, z których istnienia nie zdawaliśmy sobie sprawy. Nie potrafiłem dotknąć Alicji, a ona siedziała bez ruchu, wpatrując się w księżyc, który odbijał się pięknie, ale strasznie w takiej chwili, w jej oczach. Nie pamiętam, co do niej krzychałem, minęło jednak kilkanaście sekund zanim w ogóle drgnęła. Wreszcie zerwała się i pobiegliśmy na skraj lasu.

Po tym wydarzeniu nie mogłem jej dotknąć, nie potrafiłem dać Alicji, czego chciała.

Staralem się jeszcze podtrzymywać wygasające uczucie, ale nie udało się. Przestała przychodzić do ciemnego leśnego zakątka. W pierwszą środę po incydencie stanąłem pomiędzy świerkami i poczucie bezsilności rzuciło mnie na kolana. Zacząłem płakać tak, że nie mogłem złapać tchu. Wtedy pojawił się on. Stał między drzewami większy niż go zapamiętałem, z dużym porożem wyrastającym z głowy. Patrzył na mnie wielkimi czarnymi oczami. Po chwili odwrócił się i zaczął iść. Ruszyłem za nim.

Prawdopodobnie wtedy go znienawidziłem. Wiedziałem, że nie chciał, by Alicja odebrała mu mnie. Zaakceptowałem jednak jego obecność. Nie miałem wyboru. Nie szukałem już innego towarzystwa. Skończyłem szkołę, potem studia i zacząłem pisać proste horrory, w których antagonistą prześladował swoje ofiary. Nie zawsze zabijał, często skłaniał je do samobójstwa lub wpędzał w szpony szaleństwa. Coś o tym wiedziałem, krytyka doceniała to, jak dobrze oddawałem permanentny lęk wynikający z czyjejś obecności. Jakoś mi się układało. Powstał nawet film na podstawie mojej powieści o dziewczynie więzionej przez las, który zatruwał jej umysł tak, że ta nie potrafiła znaleźć drogi powrotnej, aż postanowiła wspiąć się na wysoką sosnę i z niej skoczyć, by potem umierać godzinami w samotności. Recenzje były średnie, ale film zarobił na sobie i na moją nie najgorszą wypłatę. Wyprowadziłem się do wielkiego miasta, bo nie dogadywałem się z matką. Często dzwoniła do mnie z prośbą o pożyczki, których nigdy nie spłacała. Wysyłałem jej te drobne kwoty, bo przecież to najbliższa rodzina. Postać, która śledziła mnie od dzieciństwa pojawiała się także w moim nowym miejscu zamieszkania. Wtedy zdałem sobie już sprawę z tego, że to osobliwa hybryda człowieka z jeleniem. Widywałem go rzadziej, prawdopodobnie nie chciał ryzykować, że inni ludzie go zauważą. Żyłem sobie na strzeżonym osiedlu w dużym apartamencie z olbrzymim tarasem, w mojej samotnej wieży. Zacząłem sporo pić. Pod wpływem alkoholu patrzyłem przez okno i wiedziałem, że jeżeli dobrze się przypatrzę, to on zawsze gdzieś będzie. Czasami bezpośrednio pod moim oknem, a czasem gdzieś w połowie schowany. Stał i patrzył na mnie. Rozjuszony używkami, często mówiłem do niego, krzyczałem, żartowałem, śmiałem się. Nie reagował.

Być może byłoby dla mnie lepiej, gdybym powoli zapijał się na śmierć, wydając kolejne powieści i wiodąc życie pustelnika. Zatęskniłem jednak za lasami, w których się wychowałem. Postanowiłem pojechać na kilka dni do domu rodzinnego. Matka była miła, przygotowała dużo jedzenia i pierwszego wieczora rozmawialiśmy długo, aż w końcu pokłóciliśmy się i poszliśmy spać. Następnego dnia dowiedziałem się, że Alicja umarła jeszcze jako nastolatka. Matka nie chciała wcześniej o tym wspominać, bo twierdziła, że byłem zbyt wrażliwy. Chyba miała rację, bo przyjąłem to dość spokojnie. Takie rzeczy się

zdarzają, a ja tak naprawdę nigdy nie byłem z tą dziewczyną na poważnie związany. Dużo więcej działa się w mojej wyobraźni, niż w rzeczywistości. Zjedliśmy wspólnie śniadanie, po którym wpatrywaliśmy się w telewizor, niewiele rozmawiając. Po obiedzie ruszyłem stawić czoła swojej przeszłości. Wiele z moich ulubionych miejsc zostało wyciętych w pień, te zaś, które pozostały, zarosły i dużo trudniej było się do nich dostać. Gdy dotarłem do pamiętnych świerków, zdawało mi się, że jedyna osoba, którą kiedykolwiek kochałem, siedziała tam na przewróconym drzewie. Była starsza, jej figura zmieniła się. Odchyliła delikatnie ramiączko swojej bluzki, takiej samej jak wtedy, gdy uciekaliśmy z lasu, a jej wielkie oczy nie prosiły już tylko o pocałunek. Ułuda szybko jednak zniknęła, jakby nigdy jej nie było. Może to tylko moje niespełnione pragnienia ubrane w ten sposób, objawiające się jedynie ze względu na wywołujące bolesne wspomnienia miejsce? Słońce dawno już zaszło, a ja nie chciałem nigdzie odchodzić.

Wiedziałem, że mój cień niedługo się pojawi. Księżyc bladym światłem przebijał się przez chmury, z których raz na jakiś czas spadało kilka kropel deszczu. Nagromadzona pod koronami drzew wilgoć parowała i utworzyła gęstą jak piana mgłę, z której wyłonił się dostojnie mój prześladowca. Nauczyłem się już nie zwracać na niego większej uwagi, i tak też chciałem zrobić tym razem. Był jednak wyjątkowo ożywiony i ewidentnie chciał mnie gdzieś zaprowadzić. Wiedziałem, że i tak osiągnie swój cel, nie opierałem się więc zbyt długo. Wędrowaliśmy kilkadziesiąt minut, aż przestałem rozpoznawać okolicę. Albo kilkanaście lat aż tak odmieniło las, albo jakimś cudem nigdy tam nie trafiłem podczas młodzieńczych eskapad. W oddali zauważyłem delikatną, jasnoczerwoną łunę. Tam zmierzaliśmy.

Gdy znaleźliśmy się tuż przed miejscem docelowym – niewielką polaną otoczoną jaworami – mój towarzysz zatrzymał się i łbem wskazał na wielkie ognisko, wokół którego coś się poruszało. Miałem tam iść sam. Zakręciło mi się w głowie, ale ruszyłem. Czułem, że nie mam wyboru. Wielki ogień rzucał skaczące światło na postacie chodzące wokół powolnym, ale równym tempem. Były to nagie kobiety ze zwierzęcymi maskami na głowach. Przebrane za jelenie, wilki, rysie czy sarny, młode, zgrabne dziewczyny, ale też starsze i pomarszczone staruszki krążyły wokół ogniska, obok którego położono na wielkim kamieniu nastoletniego chłopca zastygłego w bezruchu. Krzyknąłem ze zgrozą, bo dostrzegłem wielki nóż leżący na jego brzuchu. Przerazające postacie usłyszały to i w jednym momencie odwróciły się w moim kierunku. Nie zmieniając tempa, które utrzymywały w swoim posępnym tańcu, ruszyły w moim kierunku. Człowiek-jeleń stojący kilka metrów za mną zaryczał potwornie. Biegłem ile sił w nogach. Gałęzie wpadały mi do oczu i wbijały się

w ciało, pajęczyny oblekały mnie, a dźwięk kroków oddalał się. Nie wiem, dokąd biegłem i ile razy uderzyłem w drzewo albo potknąłem się o konar. W końcu padłem z wysiłku i zaakceptowałem swoją śmierć. Nie miałem siły już walczyć. Położyłem się na mchu i straciłem przytomność. Ku mojemu zdziwieniu, dzień zastał mnie żywego. Pobiegnę szybko do domu i zadzwoniłem na policję, nic nie mówiąc matce. Radiowóz podjechał po jakichś dwudziestu minutach. Wsiadło z niego dwóch ponurych mężczyzn po czterdziestce. Jeden z nich, absurdalnie wysoki i szczupły, przedstawił się i spisał moje dane osobowe.

– Jeszcze raz, kto pana tam zaprowadził? – dopytywał, kiedy przedstawiłem mu całą historię.

– Przyjaciel, jeszcze z czasów dzieciństwa – odrzekłem.

Policjant zapisywał wszystko w małym notatniku. Co chwilę wycierał też nos w bawełnianą chusteczką, którą wsadzał brudną do tylnej kieszeni spodni. Widniała już na niej niemała plama.

– I co ci ludzie mieli na sobie? Karnawałowe maski?

– Nie, maski zwierząt. Bardzo realistyczne.

– Ale nie robi sobie pan żartów? Widział ktoś pana?

– Mama widziała jak wychodzę z domu w stronę lasu.

– A przyjaciela?

W tym momencie wymieniliśmy z matką spojrzenia. Widziałem, że skrywała wściekłość.

– Nie, tylko mnie. Przyjaciel dotarł do mnie kiedy byłem w lesie.

– Umówiliście się tam?

– Nie.

Policjant odłożył notes.

– Czy pan zażywał jakieś narkotyki? – zapytał, pochylając się w moim kierunku.

– Nie, nigdy nie zażywałem.

– A leki?

– Od dzieciństwa nie biorę żadnych leków.

Podrapał się znów po głowie. Tym razem długopisem.

– Czy na pewno chce pan złożyć to zeznanie?

– A dlaczego nie? – zapytałem mocno już zdenerwowany. Skoro mojego życia nie udało się uratować, to może jakimś cudem uda się oswobodzić tego chłopca, który leżał koło ogniska.

– Tutaj nigdy nie było żadnej sekty. Poza tym las jest duży, a pan nie wie, gdzie to

było. Cholernie dużo glin musiałyby wziąć udział w akcji poszukiwawczej.

- Przecież powiedziałem, psiakrew, że tam było jakieś dziecko!
- Ale my nie mamy żadnego zgłoszenia o zaginięciu.
- A może w innym okręgu, sprawdzaliście?
- A może, nie pomyślałem.

Ta absurdalna rozmowa trwała jeszcze jakieś czterdzieści pięć minut. Potem policjanci wyprosilili mnie, ponieważ chcieli porozmawiać z matką. Kiedy wyszli, nie chciała mi powiedzieć, o czym dyskutowali. Poszła do sklepu po ciasto i zaprosiła mnie na kawę. Co jednak dość zrozumiałe, nieszczególnie miałem ochotę na smakołyki. Nie namawiała mnie długo, bo szybko przyjechało pogotowie. Bez sygnału, żeby nie robić pożywki dla ciekawskich spojrzeń sąsiadów. Trzej panowie w jasnych strojach poprosili, bym poszedł z nimi.

Tak trafiłem do szpitala psychiatrycznego. Prowadził mnie stereotypowy psychiatra, zapatrzony we Freuda brodacz z odstającym brzuchem. Choć starał się to maskować drogimi perfumami i mocną miętową pastą do zębów, to nieraz czułem od niego alkohol. Stwierdził, że prawdopodobnie ojciec wykorzystywał mnie seksualnie, a przez to matka była wobec mnie chłodna. Moja halucynacja miała stworzyć mi substytut męskiego silnego wzorca. Wierzyłem w tę diagnozę jak ateista w zmartwychwstanie. Muszę jednak przyznać, że moja rogata zmora nie zjawiała się przez pewien czas w okolicy.

Na oddziale większość osób była nieszkodliwa. Chodzili własnymi ścieżkami, mrucząc coś pod nosem. Część rzeczywiście myślała, że jest kimś znanym – Świętym Piotrem, Marlonem Brando czy Fidelem Castro. Do tej pory wydawało mi się, że takie rzeczy zdarzają się głównie w filmach. Byli jeszcze katatonicy, uwięzieni w swoich krzesłach jakby, zahibernowani, czekali, aż ktoś wynajdzie technologię, która pozwoli ich obudzić, a także ludzie ze skrajną depresją wysuszający swoje kanaliki łzowe do cna. Poznałem tam też prawdziwego przyjaciela. Dobrze zbudowany, brodaty mężczyzna z Zespołem Aspergera. Trafił do psychiatryka, bo próbował popełnić samobójstwo. Nie pytałem dlaczego. Całymi dniami graliśmy w szachy. Mój nowy kolega miał doskonałą pamięć do cytatów. Powtarzał więc całe dialogi, a moim zadaniem było odgadnięcie, z jakiego filmu lub książki pochodzą. Mieliśmy kupę zabawy. Do tej pory nigdy nie przeżywałem nic tak prawdziwego i spontanicznego. Zdaję sobie sprawę, jak zabawnie to musi brzmieć dla ludzi prowadzących normalne życie towarzyskie, dla mnie jednak te z pozoru błahe przyjemności były bardzo ważne. Sielanka trwała trzy miesiące. Któregoś dnia mężczyzna przyszedł do mojego pokoju

- Wychodzę – powiedział.

– Jak to?

– Tak, psychiatra stwierdził, że nie stanowią już zagrożenia dla siebie. Ojciec zaoferował, że mnie przyjmie na jakiś czas i pomoże na starcie.

– Super – odpowiedziałem, choć nie mogło brzmieć to przekonywująco.

– Nie martw się, ty też jesteś w coraz lepszej formie. Spotkamy się na wolności.

Przyjaciel zbliżył się do mnie. Wiedział o mojej fobii, uznał chyba jednak, że sympatia, która wykształciła się między nami wystarczy, by ją przełamać. Chciał mnie uściskać, ale usłyszeliśmy szmery dobiegające z korytarza. Przez otwarte drzwi zobaczyłem stopniowo gasnące światła w każdym z pokoiów po kolei. Wiedziałem, co się dzieje, i że nie mogę temu zapobiec. Ciemność zapadła w końcu w pomieszczeniu, w którym przebywaliśmy. Trwało to chwilę, aż żarówki zaczęły się zapalać dokładnie w taki sposób jak gasły. Przede mną leżał mój gość, w kałuży krwi i zastygłym w oczach przerażeniem. Jego martwe ciało było w tak strasznym stanie, że nie potrafiłem nawet określić przyczyn zgonu. Zanim przybiegła pielęgniarka, zobaczyłem jeszcze obrazek na ścianie. Wyglądał jak narysowany dziecięcą dłonią przy pomocy węgla. Mały chłopiec i jelonek.

Te właśnie wydarzenia spowodowały, że znajduje się w tym miejscu – w areszcie. Cieszę się, że zdążyłem napisać chociaż ogólnikowo moją historię. Wszyscy myślą, że jestem psychicznie chory, że cierpię na osobowość wieloraką. Obecnie zamknięto mnie w celi. Zginęło dwóch policjantów. Wszyscy czekają w pogotowiu z przygotowaną bronią długą. Wiem, co się z nimi stanie, nie mam zaś pojęcia, co czeka mnie. Czy może skończę jak chłopiec położony na kamieniu, czy też będę zakładał zwierzęce maski? Może po prostu spotka mnie łaska szybkiej śmierci? W trakcie pisania straszliwy ryk dobiegł do mych uszu już kilka razy. Możliwe, że oznacza to kolejne trupy. Przed moją celą stoi młody gliniarz w całym swoim śmiesznym mundurze. Nogi ma jak z galarety, a broń trzymana w ręku trzęsie się jak butelka w dłoni alkoholika na głodzie. Rozgląda się na boki szukając zagrożenia, a mój cień, moje przekleństwo, opiera się potężnym porożem o kraty więziennego okna, wciąż na mnie patrząc.



ŚMIERĆ

Małgorzata Lisińska

Stał z pochyloną głową. Deszcz i lodowaty wiatr cięły zapewne boleśnie, ale mężczyzna nawet nie drgnął. Mókł, marzył i czekał.

Kiedyś go kochałam. Wtedy zapewne użaliłabym się nad jego samotnością w mroku i ulewie. Współczułabym rozpaczcy wyzierającej z pociemniałych oczu. Wtedy, dawno temu, nie kazałabym mu stać w deszczu, gdy chłód nadchodzącej nocy, wraz z szalejącą nawałnicą, szarpał połamami płaszcza.

Teraz pozwalałam, by mókł.

Uniósł wzrok, a wspomnienie tamtej odległej namiętności zadrzało jak obraz z projektora wyświetlany na luźno wiszącym prześcieradle. Niewyraźne malowidło, poruszane echem przeszłości. Rozmyte mimo rozpaczliwych prób dopasowania ostrości.

Było coś takiego w tym człowieku... Coś niewinnego, słodko-gorzkiego. Coś, co, acz przecież nie był niewinny ani w sensie seksualnym, ani żadnym innym, kazało właśnie takim go widzieć.

I, chociaż bardzo się starałam, wspomnienia naraz nabrały ostrości.

Cholera, jak ja pragnęłam tego dzieciaka...

Śmierć ma w życiu niełatwo. Tak kiedyś powiedziała, a mnie wydało się to niesamowicie zabawne. Jak wiele innych, bynajmniej nie śmiesznych rzeczy. Tak bywa, gdy balansujesz na krawędzi. Kiedy walczysz o każdy oddech, a ból nieustannie rozrywa cię na kawałki, by po chwili złożyć ponownie i rozpocząć niekończącą się sadystyczną zabawę od nowa. Dzień po dniu, godzina po godzinie.

Właśnie wtedy zobaczyłem ją pierwszy raz.

Dawka morfiny zawiodła i ból wyrwał mnie ze snu. Nie obudziłem się z krzykiem. Na to dawno już brakło sił. Otworzyłem oczy, a ona tam siedziała. Długonoga kobieta w zwiewnej sukience wpatrywała się we mnie, oparta o brzeg szpitalnego łóżka. Milczała. W półmroku ledwie ją widziałem, a jednak zapamiętałem każdy szczegół. Układ ciała, włosów, miękkość kształtów.

Umierającemu nastolatkowi taki widok utrwała się lepiej niż obraz Matki Boskiej, gdyby ta zechciała go nawiedzić. Nawet bliskość śmierci nie zabija burzy hormonów. Jedyne ją przycisza.

Ojciec, kiedy mu opowiedziałem rankiem o nocnej wizycie, spojrział tylko na mnie z rozpaczą i poszedł poprosić lekarzy o zwiększenie dawki środka przeciwbólowego. Nikt nie wierzył, ale ja wiedziałem swoje.

I pragnąłem jej bardziej, niż czegokolwiek w krótkim życiu.

Następnej nocy znów przyszła. A trzeciej mnie dotknęła. Łagodnie musnęła ramię, przemknęła po nim opuszkami, pieszczotą motyli skrzydeł. Po miesiącach cierpienia byłem wyczulony niczym napięta struna, a każdy dotyk lekarza czy pielęgniarki ranił. Palce nocnego gościa przyniosły ukojenie, usunęły palący chłód. Jeszcze nie sprawiły przyjemności, ale stały się jej zapowiedzią. Czują obietnicą nadchodzącej rozkoszy. Po raz pierwszy od miesiący coś zdołało zagłuszyć ból. Nieoczekiwana ulga wycisnęła łzy z oczu i pozbawiła mnie tchu. Nim zdążyłem go odzyskać, gość zniknął.

Dręczyła mnie tak przez wiele dni, przynosząc ulgę gdy zdawało się, że już jej nie doznam. Przychodziła i znikwała, bez słowa, w nieprzerwanej ciszy wzmagając moje pragnienie, aż po gwałtowne pożądanie. Nie przestawałem o niej myśleć. Była najwspanialszym obrazem, najcudowniejszą zjawą konającego dzieciaka. Budząc się i zasypiając, rozmyślałem tylko o dotyku szczupłych palców, o pieszczocie ledwie muskającej skórę.

Marzyłem, by z nią być.

A potem, którejs nocy, zdołałem wyszeptać, by mnie wzięła. Błagałem i błagałem, aż wreszcie zapytała:

- Chcesz należeć do mnie?
- Na zawsze – opowiedziałem bez zastanowienia.
- Na chwilę – uśmiechnęła się.

I dała mi. Chwilę. Nieskończenie cudowną, jasną, nieskrępowaną. Zanurzyłem się w niej, upojony szczęściem, absolutną nirwaną. Niczego więcej nie potrzebowałem. Uniesienie wyrwało mnie ze szponów choroby, z przeпоconych szpitalnych prześcieradeł, z monotonii piszczących urządzeń. Słodkie zapomnienie...

Ten moment wszystko zmienił. Skończyła się cisza. Skończyła magia umykającego spełnienia, odległej nadziei. Skończył czar niedopowiedzeń. Mój gość przychodził coraz częściej i rozmawiał ze mną całymi godzinami. Opowiadała o światach, ludziach, iluzji i rzeczywistości. Malowała słowami wielobarwne obrazy, drżące od niedopowiedzeń, falujące w ciężkim szpitalnym powietrzu. Obiecywała...

Byłem pewien, że nie mogę bardziej pragnąć, bardziej... kochać?

Tak bywa, gdy masz dziewiętnaście lat i żadnej przyszłości.

Nie był pierwszym człowiekiem, który mnie pożądał. Zabawne, że pamiętam twarz każdego. Nie, nie był pierwszym człowiekiem, który mnie pożądał, ani pierwszym, który widział we mnie piękno.

Ale był pierwszym, który łaknął tak mocno, że i ja go zapragnęłam.

Reszta historii jest tak banalna, jak tylko banalne może być życie.

Pojawiła się nowa pielęgniarka. Młoda, niewiele starsza ode mnie. Siadała na brzegu łóżka, żartowała, odgarniała włosy z twarzy... jakoś tak inaczej. Cała była jakaś inna. Dobra, czuła, bystra. Gdy była w pobliżu, zapomniałem o... A gdy jej nie było, tęskniłem.

Aż któregoś dnia zrozumiałem, że nie chcę należeć do nocnej kochanki.

Byłem młody i głupi. Nie wiedziałem, że w życiu wszystko ma cenę. Powiedziałem, że już jej nie chcę, żeby odeszła i nie wracała.

– Chcesz wolności? – zapytała obojętnie. – A wiesz, że jeśli cię uwolnię, będę musiała wziąć w zamian kogoś innego?

– Więc weź.

– Nawet jeśli będzie młody? Nawet jeśli ktoś będzie go kochał?

– Weź – wyszeptalem, bo w głębi duszy wiedziałem, że to złe.

Wszystko ma swoją cenę. Wszystko. Tamto „weź” zaprowadziło mnie tutaj. W deszczową noc, na śliską ulicy. Do wraku samochodu wciśniętego między drzewa. W absolutnej ciszy, jakby świat wraz ze mną i moją rodziną wstrzymał oddech, czekając na nocną kochankę.

Bo ona przyjdzie. Zawsze przychodzi.

Deszcz nie przestaje padać. Akumulator w samochodzie odmawia posłuszeństwa i jedyna ocalała lampa gaśnie. Zapada ciemność. Chłopiec, którego tak kiedyś kochałam stoi przed samochodem z rozpaczą w oczach. Nie jest już dzieckiem, nie jest niewinny. Zabrałam mu tę niewinność przed laty, gdy obiecałam wolność w zamian za życie kogoś innego.

Mogłabym zabrać kogokolwiek, tego pijaka, przez którego mój dzieciak wpadł w poślizg. Mogłam sprawić, by w nawałnicy nie zauważył zataczającego się mężczyzny. Bylibyśmy kwita. Życie za życie.

Mogłam. Może nawet powinnam.

Obrazy chwieją się w moich wspomnieniach. Dałam mojemu ukochanemu życie. Ocaliłam przed wyrokiem. Przed sobą. A on kazał mi odejść, wybierając inną kobietę. Złamał mi serce.

Bo, kochany, Śmierć ma w życiu niełatwo. Zwłaszcza, gdy ma serce.

Idę. Wezmę z samochodu jedno życie. Będziemy kwita.



Ostatnia Tawerna



Twoje fantastyczne miejsce w sieci!
www.ostatniatawerna.pl

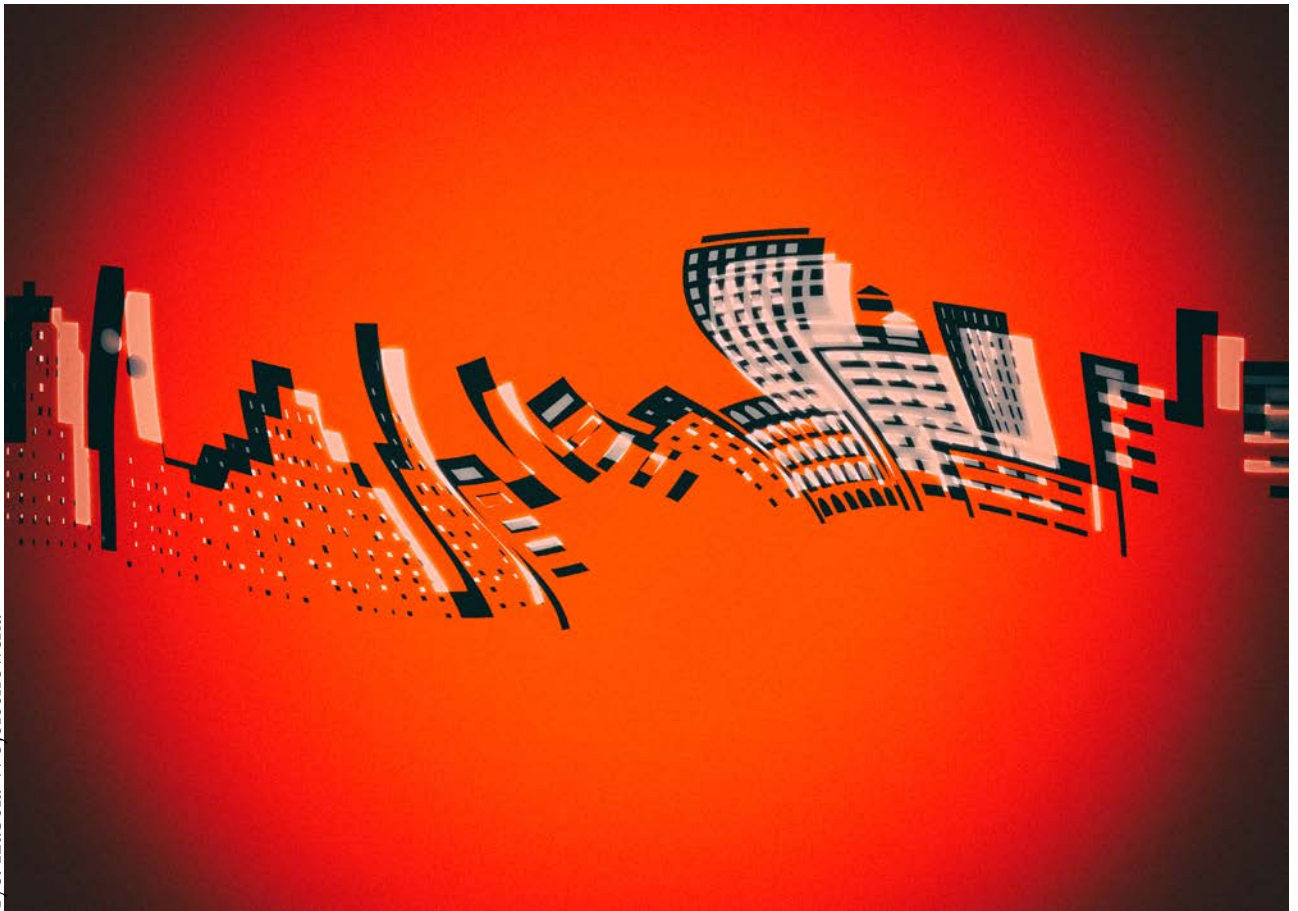


SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**



TWARZ MIASTA

Sylwia Błach

Spało. Śniło o czasach, w których nie miało granic. Bezczesny teren, będący wielobarwną plamą na mapie tego świata. Jedność z wszystkiego, wszystko w jedności.

Widziało zwierzęta przemierzające równiny. Kopiące w ziemi, przegrzebujące mieszki jego twarzy, odświeżające i pozwalające rodzić się wciąż na nowo. Dzikie konie wygniatały kopytami zanieczyszczenia, małe czarne wągry, rozbijając niczym grudy ziemi, a potem rozcierały je po świecie, zgodnie z zasadą, że w przyrodzie nic nie ginie. Krety pędziły swój los przekopując glebę, wciąż wygrzebując nowe warstwy skóry. Wraz z porami roku naskórek zanikał, zabierany przez zwierzęta, wiatry i wody, a potem rodził się na nowo, tworząc kolejne

warstwy – najpierw seledynowe, potem cieszące oko zielenią i w końcu te odnajdujące sen w żółci...

A potem przyszedli ludzie. Wyrwali trzewia i zakuli w stalowe kajdany. Wyznaczyli granice, nazywając bezkresny obszar Miastem, tak jak śmią pakować niczym nieskrępowaną duszę w kupę mięsa i nazywać ją dzieckiem.

Twarz Miasta została ukryta pod warstwą makijażu. Niewykwalifikowana wizażystka okryła ją podkładem z betonu. Miasto zyskało gładkość z billboardów, którymi zdobiono kolejne wyrastające z nicości budynki. Dusilo się. Chorobliwa bladeść zastąpiła radosne kolory. Ziemia zapominała czym jest słońce, a naturalny proces odmiany zastygł, nie mogąc zedrzeć z siebie maski nałożonej przez ludzi. Miasto odkrywało swoją nową, szarą naturę. Przez ból uczyło się jej.

Zwierzęta uciekły bądź zeszły głębiej, bliżej gorącego serca ziemi, orząc te warstwy, do których nie powinny mieć dostępu. Spulchniając, ale nie dając szansy na oddech. Znacząc krwawe ślady brunatnej gleby tam, gdzie ziemia miała swoje ukrwienie.

Naczynka boleśnie pękały, a wtedy Miasto się buntowało. Przypominało sobie, że kiedyś było wolne i bezimienne. Rośliny wypuszczały korzenie, które rozszarpały krwiobieg kanalizacji. Ziemia drżała, pełna nadziei, że jedna osunięta cegła zapoczątkuje katastrofę. Ale mijaly lata, a ludzie nauczyli się żyć w tym dziwnym miejscu, stworzonym według wszystkich ich zachcianek, a jednak nie do końca im podporządkowanym. Zapomnieli jak się wsłuchuje w przyrodę, zapomnieli, że teren ten wcześniej nie nazywał się Miastem. I ono w końcu też zapomniało.

Zasnęło snem betonowym. I tylko co jakiś czas z letargu wyrывał je ból. Gdy ogromne stalowe potwory stawiały swe łapy i wwiercały się w zalaną betonem twarz. Gdy powstawał kolejny budynek, coraz bardziej obciążając teren, dusząc, uniemożliwiając złapanie oddechu... Ale także wtedy, gdy ktoś szpecił to, co powstało. Bo o ile Miasto w pewnym momencie przyzwyczailo się do swojego industrialnego wyglądu, o tyle bezsensownego niszczenia nie potrafiło zrozumieć. Płakało, gdy któreś dziecko zdołało zdobyć mury rysunkami, gdy kalalo jego betonową i zimną, ale jednak harmonijną, urodę. Przysięgało wtedy zemstę i spało dalej. Zbierało siły, czerpiąc je z emocji, ucząc się na nowo odczuwania i każdego fragmentu swojego wyglądu. Tak jak dziecko z fascynacją odkrywa dziurki w nosie i słony posmak ich wydzieliny, z zainteresowaniem dotyka swojego ciała, badając zapach wszystkich zagłębień czy uczy się, że szarpnięcie za włosy powoduje ból, tak ono uczyło się swoich stalowych nosów, betonowych oczu i uporządkowanego zielonego zarostu...

Marcin potrząsnął puszką sprayu i wycelował w betonową ścianę. Z radością obserwował jak smuga czerwieni znaczy szarość muru. Narysował wielkiego kutasa, po czym wybuchnął śmiechem. Kumple stojący obok zawtórowali mu.

– Stary, normalnie Pikasa z ciebie! – powiedział Gruby, klepiąc go po plecach. Chłopak poczuł dumę. Od dawna chciał należeć do jakiejś paczki, broić, nie słuchać na lekcjach, a może nawet kraść samochody? Wyobraził sobie siebie, jak łączy przewody niczym w tym filmie akcji, który ostatnio widział w tv, a potem odpala zajebistą brykę. Już słyszał ten pisk dziewczyn na dzielni, gdy nagle z marzeń wyrwał go dźwięk syren i głos Łysego.

– Kurwa, gliny, spierdalamy!

Piątka chłopców w dresach z dwoma paskami jak na komendę rzuciła się w kierunku najbliższej meliny. Tam, za rogiem, wśród walających się po ziemi śmieci, skrywały się drzwi do jednej z tych piwnic, do których niezbyt legalnym sposobem zdobyli klucze. Minuta biegu, kilkaset długich kroków. Usłyszeli pisk hamowania, ktoś coś krzyknął. Przyspieszyli. Padły przekleństwa, każde coraz bardziej siarczyste, bo przecież popisowa przed kumplami to podstawa. Błękitne światło rozświetliło alejkę. Myśleli o zimnym piwie czekającym w piwnicznej lodówce, gdy nagle Michu, najszybszy z nich, zaklął ostrzej niż zwykle. Wpadł na siatkę.

– Kto to kurwa tu postawił?

Pociągnął z całej siły, po chwili reszta kumpli ciągnęła razem z nim, ale drucziana mozaika nie zareagowała ani na prośby, ani na groźby. W mroku widzieli już znajomy zarys drzwi. Byli w potrzasku.

– Podsadź mnie, chuju! – krzyknął Gruby i bez zastanowienia zaczął się wspinać po o wiele chudszy koledze. Michu stęknął.

Chłopcy wpadli w panikę. Rozpaczliwie próbowali zaczepić nogi o siatkę, którą niezbyt wysportowany dorosły pokonałby z góra dwoma stęknięciami. Jednak średnia wzrostu metr pięćdziesiąt robiła swoje. W przypiływie dzieciennego buntu Jajek, najmłodszy z nich, psiknął błękitnym sprayem w kierunku policjantów, którzy, pogwizdując, maszerowali w ich stronę. Wiedzieli, że dzieci są w potrzasku, więc z radością godną Strażników Teksasu – czyli radością wewnętrzną, noszoną gdzieś w sercu, nie na twarzy – smakowali tę chwilę. W końcu nie co dzień rozbija się szajkę graficiarzy.

– Żryjcie farbę, kundule! – wrzasnął Jajek machając puszką we wszystkich kierunkach.

– Powaliło cię?! – ryknął Gruby. Jajek nie reagował. Po chwili wszyscy zaczęli kasłać, dusząc się farbą, która była już wszędzie, tylko nie na wrogach miejskich artystów.

Policjanci stanęli jak wryci. Przed oczami mieli bandę gówniarzy skąpanych

w niebieskiej mgle.

–Ty, smerfy! – Marek parsknął śmiechem i schował pistolet do kabury. Chwycił za kajdanki.

–Ogarnijmy ich, bo jeszcze się poduszają, banda baranów – dodał Wojtek, robiąc kilka kroków w kierunku dzieciaków i uspokajająco podnosząc ręce. Już chciał wygłosić klasyczną formułkę: poddajcie się, jesteście otoczeni, nic wam nie grozi, srututu majtki z drutu, gdy nagle ziemia zadrżała.

Policjanci zeszywnieli. W mieście nigdy nie doszło do trzęsienia ziemi, ale ostatnio w wiadomościach mówiono o trzęsieniach w najmniej typowych miejscach na ziemi. Nie mając się czego złapać, odruchowo złapali za broń.

Ziemia ponownie się zatrzęsła. Mocniej.

Teren, na którym stali chłopcy zaczął pękać, tworząc kilkudziesięciometrowe wyrwy. Dzieciaki pisnęły przerażone, gdy w ciągu kilku sekund ziemia rozpadła się na wiele kawałków, pomiędzy którymi buchała gorąca lava.

Puzzle, kurwa, pomyślał jeszcze Marcin, odważnie zaglądając w głąb przepaści, która go otoczyła. Przez chwilę wydawało mu się, że nie patrzy na lawę, a na rozgrzaną krew. I wtedy każdy fragment betonu zaczął się przechylać. Dzieciaki złapały się siatki, ale ziemia bezlitośnie zmieniała swoje nachylenie. Pierwsze ręce siadły Jajkowi – zsunął się powoli, z szeroko otwartymi oczami, jakby nie do końca wierzył w to, co się dzieje. Chłopcy nie zawołali za nim, skupieni na zaciskaniu małych piąstek, zszokowani swoją sytuacją. Gruby spróbował się podciągnąć, Marcin szukał oparcia dla stóp. W końcu fragment ziemi ustawił się niemal pionowo, a siatka z cichym chrzęstem zaczęła wyłamywać się z ziemi.

Mijały sekundy, gdy wrzask wypełnił ulicę. Każdy z chłopców kolejno zsuwał się w wyrwę, by ucichnąć w bulgoczącej lawie.

Policjanci nie zwracali uwagi na tragedię rozgrywającą się kilka metrów dalej – mieli większy problem. Jak zahipnotyzowani patrzyli na kroczący w ich kierunku wieżowiec. Absurdalnie, wbrew jakiegokolwiek logice, budynek wyrwał się z ziemi i stalowymi nogami przemierzał ulicę, górując nad innymi, właśnie budzącymi się, domostwami. Światła w oknach płonęły. Przerażeni mężczyźni przysięgliby, że domy na nich patrzą, gdyby byli w stanie wydać z siebie jakikolwiek odgłos. Z okien skakali ludzie. Policjanci wrzasnęli, gdy kilka metrów przed nimi wylądowało ciało zgrabnej blondynki z głową wygiętą pod nienaturalnym kątem. Na końcu ulicy dostrzegli biegnącego w popłochu mężczyznę. Chcieli ruszyć się w jego kierunku, ale ich ciała odmówiły posłuszeństwa, gdy ujrzeli, że za facetem na płataninie rur goni wanna. Przygniotła go z głośnym metalowym wrzaskiem. Krwawe

rozbryzgi można by pomylić ze świeżo wylaną wodą, gdyby nie intensywny kolor. Czerwienią spływały do studzienki kanalizacyjnej, gdy wanna przykucnęła na metalowych nogach i łypała na policjantów spod kranu.

Nagle na Wojtka spadła stalowa noga. Marek odskoczył, wrzeszcząc. Zobaczył rozgniecione ciało swojego towarzysza. Jak na zwolnionym filmie, przed oczami pojawiły mu się kiczowato pokolorowane scenki z ich pracy – wspólne pościgi i chłanie wody na służbie. Trwało to ułamek sekundy, gdy zszokowany umysł próbował ułożyć wszystko w całość. O ułamek za długo. Ciężka stalowa noga zmiażdżyła i jego.

Miasto się budziło. Smakowało cierpienie i czerpało radość z umiejętności sterowania. Doceniło ogrom pracy, którą ludzie włożyli w jego przemianę. Każda stalowa noga, każde szklane okno było bronią. Gdy ziemia zaczęła spływać krwią, Miasto odkryło smak zemsty. Metaliczny i słodki.



WIDZIADŁO

Mateusz Morawiec

Drzwi uchyliły się. Do pokoju wszedł mężczyzna w eleganckim, sztywnym na miarę garniturze, a za nim ubrany na biało pielęgniarz. Siedzący na wyłożonej materacami podłodze pacjent nawet nie podniósł wzroku. Kołysał się lekko w przód i w tył, mamrocząc pod nosem.

– Panie Westerchose, ma pan gościa – stwierdził dobrze zbudowany, łysy pracownik szpitala o twarzy zdecydowanie bardziej pasującej do kryminalisty. – Tylko proszę, niech się pan zachowuje – dodał, po czym, odwróciwszy się, wyszedł, zamykając drzwi.

Zapanowała długa chwila ciszy, zakłócana jedynie niezrozumiałymi szeptami pacjenta. W końcu ten podniósł głowę i spojrzał na swojego gościa. Wysoki, elegancki, gładko ogolony. Kruczoczarne włosy zaczesane na bok. Typ eleganta.

– Policja? – zapytał Westerchose, wpatrując się w niego.

– Nie jestem z policji – odrzekł spokojnym tonem. – Nie jestem też lekarzem, choć ten

za drzwiami tak myśli. Przyszedłem porozmawiać. Możemy przejść na „ty”?

– Adam. – Wyciągnął rękę, spodziewając się zwyczajowej reakcji na ten uprzejmy gest. Lekceważenia, ewentualnego krzyku, by nie próbował nikogo dotykać. Zdziwił się, gdy elegancik mocno uściśnął mu dłoń. To go zainteresowało.

– Patrick Massory. Chciałem porozmawiać o tym, co ci się przydarzyło.

– Wypadek... – zaczął. Dokładnie tego się spodziewał.

– To akurat najmniej ważne. Chodzi o to, co wydarzyło się wcześniej. Opowiedz o wszystkim, od początku.

Adam Westerchose poprawił się na podłodze, obserwując, jak gość siada naprzeciw niego. Zaczął opowieść.

Dzień rozpoczął się podobnie żjak każdy inny. Wstałem rano, wziąłem prysznic, napiłem się kawy. Było wcześnie, bardzo wcześnie. Szykowałem się do pracy i gdzieś około piątej czterdzieści wyszedłem z domu. Robotę miałem dobrą. ĘObsługiwałem monitoring na jednym z obiektów, dla sporej firmy ochroniarskiej. Galeria handlowa, ta wielka, niedaleko głównego bloku wydawnictwa Journey Stuff. Tak się nazywa ta gazeta? Przyszedłem do pracy, na dwudziestoczerogodzinną zmianę. To świetny system, spędzasz cały dzień w robocie, a dwa następne siedzisz w domu. Przywitałem się ze zmiennikiem, zamieniliśmy kilka słów i się zaczęło. Za dnia nie działo się nic nadzwyczajnego, kilka prób kradzieży, szybko się z tym uporaliśmy. Gdy galerię zamknięto, zostało nas trzech. Ja na monitoringu i dwóch kumpli patrolujących obiekt.

Zaczęło się gdzieś koło północy. Pamiętam, że właśnie zrobiłem kawę i rozsiadłem się w fotelu. Wtedy na jednym z ekranów zobaczyłem coś dziwnego. Młoda dziewczyna, blondynka, ubrana na biało, stała w korytarzu i patrzyła prosto w kamerę. Było w niej coś dziwnego, ale wtedy nie przywiązałem do tego większej uwagi. Pomyślałem, że ktoś przypadkowo został zamknięty, czasem to się zdarza. Złapałem za krótkofalówkę i skontaktowałem się z patrolem. Podałem im numer butiku, przy którym stała i obserwowałem ją. Na wypadek, gdyby stamtąd odeszła, rozumiesz. Jednak ona się nie poruszała. I nie chodzi o to, że nie spacerowała po korytarzach. Na Boga, ludzie nie stoją jak słup soli w środku zamkniętej galerii handlowej. Nie przestępowała z nogi na nogę, nie spacerowała tam i z powrotem, nie nawoływała, by ktoś ją znalazł i wypuścił. Po prostu stała

nieruchomo, gapiąc się w kamerę, i przysięgam ci, ona patrzyła na mnie. Czulem, jak mi się przygląda. Odebrałem komunikat od patrolu. Prawie dotarli na miejsce, kilka metrów, zakręt i ją zobaczą. Wyprowadzą dziewczynę, a ja wrócę do poważnej roboty. Złapałem za krótkofalówkę, by im odpowiedzieć i spuściłem monitor z oczu. Wywołałem chłopaków i usłyszałem, że nikogo nie widzą. Jeszcze raz spojrzałem na ekran. I wiesz, co zobaczyłem? Nic, zupełnie nic, nie było jej. Nie widziałem jej też na żadnej innej kamerze. Patrol wołał mnie raz za razem, chcieli wiedzieć, w którą stronę poszła. Gdzie mają jej szukać. Powiedziałem im, że musiało mi się coś przywidzieć i mają wracać do swoich zajęć.

Wydaje się dziwne, co nie? Jednak wiem, co widziałem, i gdy tylko chłopaki odpuścili poszukiwania, przewinałem nagranie. Chciałem upewnić się, że tam była. Jednak gdy odtworzyłem zapis z kamery, nie dostrzegłem nikogo. Pusto. Doszedłem do wniosku, że rzeczywiście mi się przywidziało, byłem zmęczony, bywa. Zrobiłem sobie jeszcze jedną kawę i do końca zmiany miałem spokój.

Kolejny dzień spędziłem u rodziców. Pomagałem matce w kuchni, później z ojcem wzięliśmy się za planowany od dłuższego czasu remont schodów. Wieczorem napiliśmy się piwa z sąsiadem i tak dzień się skończył. Rano wróciłem do domu i zająłem się... Nie ważne? Mówiłeś, żeby niczego nie pomijać. No dobrze, w każdym razie przez te dwa dni całkowicie zapomniałem o dziewczynie.

Przypomniałem sobie o niej dopiero, gdy znów stawiałem się w pracy. Za dnia panował wyjątkowy spokój. Żadnych interwencji. Rzadko zdarza się taka zmiana, mówię ci. Jednak miałem zajęcie. Jak jakiś wariat wpatrywałem się w monitory, szukając dziwnej, znikającej zjawy. Teraz wydaje mi się to idiotyczne. W tłumach odwiedzających galerię, zwiedzających te wszystkie butiki, ciężko kogokolwiek zlokalizować. Jak złodziej nie zostanie zatrzymany przez obsługę sklepu, najczęściej dopadamy go dopiero przy wyjściu lub na parkingu. Chyba że biegnie, wtedy jest łatwiej.

Po zamknięciu lęmoja uwaga się podwoiła. Wypitą kawę mógłbym liczyć w litrach. Nie chciałem przysnąć, i chociaż oczy piekły mnie jak cholera, nie spuszczałem wzroku z monitorów. Byłem pewny, że znowu ją zobaczę. Nie pomyliłem się. Stała dokładnie w tym samym miejscu, co ostatnio. Nie zwróciłem na to uwagi, ale chyba znów zbliżała się północ. Początkowo chciałem zbadać sprawę osobiście, jednak coś mówiło mi, że jak spuszczę monitor z oczu, to dziewczyna zniknie. Wywołałem patrol i skierowałem w odpowiednie miejsce, tym razem informując, że drzwi do sklepu są uchylone. Nie chciałem, żeby wzięli mnie za wariata. Cały czas gapiłem się na tę dziewczynę, niemal czując, jak świdruje mnie

spojrzeniem. Dostałem zgłoszenie, że chłopaki są prawie na miejscu. Obraz stał się niewyraźny i nastąpiło to, czego tak naprawdę spodziewałem się od początku. Dziewczyna zniknęła. Tak jak poprzednio, chwilę przed tym, gdy patrol miał ją zobaczyć. Wiedziałem już, że coś jest kurewsko nie tak. Sprawdzili drzwi, oczywiście wszystko było w żaporządku. Wtedy odwróciłem się na krześle i przeżyłem najstraszniejszą chwilę w życiu. W drzwiach stała tamta dziewczyna. Przyglądała mi się. Dokładnie tym samym wzrokiem, którym wcześniej obserwowała kamerę. A jej twarz, Boże, dopiero wtedy zobaczyłem ją wyraźnie. Była niesamowicie blada i jakby zbyt duża. Rozumiesz? Za bardzo rozciągnięta, zajmowała zbyt dużą powierzchnię. Nie wiem jak to inaczej wytłumaczyć. Przez kilka sekund, choć miałem wrażenie że trwa to wieczność, gapiliśmy się na siebie. Potem odwróciła się i wyszła. Wahalem się tylko chwilę i wybiegłem za nią. Na korytarzu nie było nikogo, jakby rozplynęła się w powietrzu. Przejście do pomieszczenia monitoringu jest długie i wąskie, nie pokonałaby go tak szybko. Wszystkie inne drzwi, poza moimi, były zamknięte na klucz. Myślałem, że zwariuję. Tą zmianę przepracowałem do końca, ale już następnego dnia poprosiłem o urlop, który na całe szczęście dostałem.

Nazajutrz nie potrafiłem skupić się na niczym innym, niż ąpieprzona zjawa nawiedzająca galerię. Oczywiście nikomu nic nie powiedziałem. Jeszcze zostałbym wzięty za czubka. Zabawne, jeżeli odnieść to do mojej obecnej sytuacji. Bałem się, cholernie się bałem. Gdy zamykałem oczy, widziałem jej dziwną twarz. Staralem się zająć czymś myśli, jednak bez skutku. Nadeszła noc, a ja nie potrafiłem zmrużyć oka, zresztą w takiej sytuacji nikt by nie umiał.

Zbliżała się północ. Oglądałem jakąś komedię w telewizji, nie pamiętam tytułu, ale to chyba nieistotne. Tak myślałem. Wtedy zobaczyłem ją po raz kolejny. Z początku nie byłem pewny, czy mi się nie przywidziało. Biały kształt przemknął przez korytarz. Wybiegłem z pokoju, modląc się, bym nikogo nie zobaczył.

Stała przy drzwiach do drugiego pokoju, przyglądała mi się. Gdzieś w głębi wiedziałem, że jeżeli tylko się poruszę, znów zniknie. Więc stałem tak, z sercem łw gardle i wpatrywałem się w jej okropną twarz. W końcu odważyłem się zapytać, czego ode mnie chce. Widziałem to w jakimś filmie, że duch zawsze czegoś chce, czemu nie spróbować? Nie odpowiedziała. Zaczęła się cofać. Za plecami miała ścianę, jednak wiedziałem, że jej nie zatrzyma. Nie myliłem się. Przeszła przez nią, do cholery. Natychmiast podbiegłem w to miejsce. Mur wyglądał normalnie, był nienaruszony. Duch przenikł przez niego, a tak, przeniknął, czy to ważne? Więc duch przeniknął przez niego, pozostawiając mnie samego

i skrajnie przerażonego.

Oczywiście zauważyłem zależność. Pojawiała się zawsze około północy. Miałem plus minus dwadzieścia cztery godziny. Tak mi się przynajmniej wydawało. Uznałem, że muszę wynieść się jak najdalej. Wsiadłem w samochód i pogałem przed siebie. Wspominałem, że dostałem urlop? Dwa tygodnie! Chciałem uciec od przeklętego upiora.

Pędziłem chyba sto pięćdziesiąt na godzinę, jakby gonił mnie sam diabeł. I wtedy zdarzył się wypadek. Z naprzeciwka jechał samochód, ja byłem zmęczony i przerażony. Chwila nieuwagi i tyle. Nie ma co opowiadać. Dwoje młodych ludzi zmarło na miejscu, a mnie zamknęli tutaj. Opowiedziałem im wszystko i uznali mnie za wariata. Zresztą, sam pewnie postąpiłbym tak samo. Tu przynajmniej mam spokój, nie wiem czy to przez proszki, czy coś innego. W każdym razie widmo do mnie nie przychodzi.

– Dziękuję za twoją historię, Adamie – powiedział elegant, wstając.

Dokładnie w tym samym momencie otworzyły się drzwi. Pielęgniarka przyniosła na małej tacy dwa kubki, jeden z wodą, drugi z kilkoma tabletkami. Pacjent bez ociągania połknął wszystko, popijając. Po chwili znów zostali sami.

– Coś jeszcze? – zapytał Westerchose.

– Jeszcze tylko jedno. Poznajesz? – Jego rozmówca wyciągnął coś z wewnętrznej kieszeni marynarki. Niewielki, elegancki zegarek kieszonkowy. Złapał za długi łańcuszek i pozwolił, by przedmiot zawisł między nimi. Adam przyjrzał się dokładnie i zbladł.

– Kim ty jesteś? – zapytał.

Wchodząc do mieszkania, powiesił marynarkę na stojącym w przedpokoju krześle. Poluzował krawat i po rozpięciu dwóch pierwszych guzików koszuli zdjął go przez głowę. Na jego twarzy malowało się zadowolenie, dzięki rozmowie przeprowadzonej w szpitalu potwierdził swoje przypuszczenia.

Otworzył drzwi do piwnicy i zaczął schodzić po schodach. Po pokonaniu kilku stopni pacnął się w czoło. Wrócił na górę i z kieszeni marynarki wyciągnął zaprezentowany wcześniej Adamowi zegarek. Przyjrzał mu się uważnie. Bogato zdobiony, wykonany chyba ze

srebra, zdobycie go nie było proste. Rzymskie cyfry, trzy wskazówki i niewielkie logo producenta, nic wyjątkowego. Fakt, egzemplarz na pewno był drogi, jednak nie wyróżniał się spośród setek mu podobnych. Zerknął jeszcze na noszonego na ręce G-shocka i, wrzucając nowy nabytek do kieszeni, ruszył w stronę piwnicznych drzwi. Godzina się zgadzała.

Czasomierz należał do Adama, mężczyzna nabył go kilka tygodni przed wydarzeniami, o których opowiedział. Nie miał pojęcia, że razem z nim kupił swoją zgubę.

Zszedł po stromych schodach, do niewielkiego, niskiego i pustego, jeżeli nie liczyć stojącego przy ścianie biurka, pomieszczenia. Na blacie leżały wycinki z gazet i laptop. Usiadł na obrotowym krześle i uruchomił komputer. Zegarek położył obok jednego z artykułów, opatrzonego zdjęciem Adama Westerchosa. Nagłówek głosił: *Znęcał się nad rodziną. Uniewinniony*. Sprawa dość głośna kilka miesięcy temu. Obecny pacjent szpitala miał być zwyrodnialcem, stosującym przemoc wobec żony i dwójki dzieci. Proces zakończył się uniewinnieniem z braku dowodów.

Światło zamigotało delikatnie. *Przerwa w dostawie napięcia*, pomyślał. Jednak po kilku sekundach sytuacja powtórzyła się, tym razem żarówka nie wytrzymała. Rozległ się dźwięk pękającego żarnika i piwnicę zalała ciemność. Sięgnął do szuflady biurka, wyciągając latarkę. Włączył ją w momencie, gdy na ekranie monitora wyświetliły się trzy małe koty. Pokręcił głową. Żona znów bawiła się jego komputerem. Zmieniała tapetę za każdym razem, gdy tylko miała ku temu okazję. Patrick postanowił tym razem zostawić te cholerne zwierzaki w spokoju. Powrotne zmienianie obrazu nie miało sensu. Jutro znów zastanie to samo. Trudno, jakoś przeżyje.

W świetle rzucanym przez latarkę, kątem oka dostrzegł ruch. Początkowo całkowicie to zignorował, po chwili jednak usłyszał, jak za jego plecami ktoś nuci smętną melodię. Tego było za wiele. Powoli oświetlił latarką przestrzeń po przeciwległej stronie piwnicy. Zobaczył ją. Młodą, ubraną na białą dziewczynę o blond włosach. Twarz miała dziwną, lęzwyglądającą na zbyt dużą, przerażająco rozciągniętą.

– Cholera, nie dziwię się, że gość nie umiał tego opisać – powiedział Patrick wstając i lustrując widziadło. Zrobił krok w jego stronę. Miał wrażenie, że delikatnie się oddaliło.

Wtedy, bez ostrzeżenia, twarz dziewczyny zaczęła się zmieniać. Otworzyła usta nienaturalnie szeroko. Klębiły się w nich larwy, grube i tłuste, pełzające pod językiem, między policzkami. Zzerające dziąsła. W jej oczach rozbłysł gniew. Skóra na twarzy zaczęła się marszczyć i odpadać płatami, odsłaniając białą, pokrytą kroplami posoki czaszkę.

– Daruj sobie, dobra? – odezwał się Patrick i niczym za sprawą magicznej różdżki

twarz dziewczyny wróciła do normy. Nawet nieco się skurczyła, wyglądała teraz prawie naturalnie. Wpatrywała się w niego zdziwionym wzrokiem.

– Wiem czym jesteś – powiedział i znów postąpił o krok. Zjawa zaczęła sunąć do tyłu, aż oparła się o ścianę. Odwróciła się wyciągając rękę i zatrzymała ją parę centymetrów przed chropowatą, starą tapetą. Naparła na ścianę mocniej, nic się nie wydarzyło. Spojrzała na podłogę. Wzdłuż muru biegła szeroka linia usypana z rdzawego proszku. Gdy się odwróciła, Patrick stał tuż przed nią. Pochylił się lekko, spoglądając prosto w jej oczy.

– Pył ceglany, kreda i sól. Wybacz, ale stąd nie wyjdiesz. – Uśmiechnął się krzywo, mówiąc to. – Uwierz, nie sprawi mi to przyjemności, ale nie pasujesz tutaj.

Dziewczyna zaczęła w panice uderzać w ścianę pięściami. Drapała, a z oderwanych paznokci sączyła się krew. Wydawała się teraz niezwykle materialna. Patrick siedział cierpliwie na krześle, obserwując to wszystko w świetle rzucanym przez ekran laptopa, paląc papierosa. Po około godzinie dziewczyna opadła z sił. Usiadła pod ścianą i obejmując rękami kolana, zaczęła kołysać się w przód i w tył, nucąc tą samą melodię, którą słyszał wcześniej. Na jej twarzy malowały się rozpacz i przerażenie.

Patrick wstał, zamknął komputer i wziął go pod pachę. Ostrożnie przekroczył linię usypaną przy schodach. Już miał wyjść z piwnicy, gdy odwrócił się, spoglądając na siedzącą pod ścianą dziewczynę. A przynajmniej coś, co przyjęło taki właśnie kształt.

– Powiem ci, że wybrałaś sobie naprawdę fajny zegarek. Zastanawiam się tylko, czy zajęłaś go, zanim Westerchose go kupił. – Nie czekając na odpowiedź, wyszedł z piwnicy.

– Co z nią będzie? – zapytała Adeline, stawiając na stole dwa kubki z parującą herbatą.

– Zniknie. Jeżeli odetnie się je od ludzi na kilkanaście, czasem kilkadziesiąt dni, znikają. Nie są w stanie funkcjonować bez naszego strachu – odparł Patrick, sięgając po kubek.

– To przykre. – Upiła łyk, pozostawiając na porcelanie odcisk szminki.

– Pamiętaj, że Alkморfy są niebezpieczne. Ten na przykład wpędził człowieka do szpitala psychiatrycznego i przyczynił się do śmierci dwóch osób.

– Przecież nie on to zrobił. Nie on gnał autostradą sto kilometrów na godzinę...

– Sto pięćdziesiąt i to nie była autostrada.

– ... no właśnie. Nie jego wina, taki się urodził.

– Cholera jasna. To co? Mam go wypuścić? Widziałem, co te bydlaki potrafią. Uwierz, zasłużył sobie na to.

– Tak samo jak ten cały Adam.

Na chwile zapadło milczenie. Patrick wpatrywał się w wizerunek małego kota na kubku żony. Uwielbiała te sierściuchy. Miała rację. Adam Westerchose zasłużył na swój los. Znęcał się nad rodziną. Sąd go uniewinnił, ale to akurat pozostawało bez znaczenia. Alkomorfy nie wybierają swoich ofiar przypadkowo. Szukają ludzi, którzy zrobili w swoim życiu coś bardzo złego. Przybierają przerażające formy i, jak tylko mogą, starają wzbudzić strach w posiadaczu zajmowanego przez nie przedmiotu. Ta sytuacja nie stanowiła wyjątku.

– Szkoda mi go, siedzi tam na dole samotny, ze świadomością, że umrze. – Ciszę przerwała Adeliene.

– Mi też. Czasem zastanawiam się, kto tu jest potworem.

żona przytuliła go. Więcej nie poruszyli tego tematu, chociaż nocą dochodzące z piwnicy szlochy i pojękiwania przeszkadzały w spokojnym zaśnięciu.



Z POWROTEM W POKOJU NUMER 12

Przyczynek do biografii Edwina Czerwińskiego

Jakub Trzeciak

Bezglębne, wolno wirujące w powietrzu, jak spopielone pióra. Widok był przejmujący i uroczysty. Pojedyncze płatki śniegu opadały ze spiętrzonych nad doliną kremowych chmur. Zaskakujące dla przybysza z rozświetlonej październikowym słońcem stolicy, ośnieżone wierzchołki gór okalały miasteczko. Główna uliczka była wyludniona, a w oddali widać już było okazałą fasadę piętrowego budynku, której drewno pociemniało przez te dwadzieścia lat, przybierając ebonitowy odcień i nadając całemu przybytkowi nieco posępny wyraz. Nadal jednak pensjonat “Jaskuła” składał półniemą obietnicę (wiekowe belki wydawały ciche stuki

i trzaski) – obietnicę przytulnego, pachnącego lasem wnętrza.

Irracjonalnie duży SUV, który doskonale trzymał się drogi podczas szybkiego zjazdu serpentyną z położonej hen wysoko stacji kolejowej, szybko zyskał aprobatę pana Czerwińskiego, zazwyczaj obojętnego w kwestiach motoryzacyjnych.

– Nie ma jednak jak własne auto podsumował brawurowo powożący czarnym potworem pan Jaskuła. Czerwiński musiał przyznać rację swojemu gospodarzowi: ostatnie kilometry przed Ustrzygami pociąg pokonywał w tempie strudzonego piechura, bezlitośnie grzechocząc nielicznymi już pasażerami, którzy nierozważnie zdecydowali się w ten sposób przedostać do wyższych partii górskiej krainy.

Już w momencie, w którym wyszedł z budynku dworca, a pusty pociąg kontynuował swoją żmudną wspinaczkę w głąb lasu, Czerwiński poczuł mroźną i niepokojącą nutę w powietrzu, które poza tym było nadal, zgodnie z zapowiedziami pana Jaskuły, wręcz oszałamiająco czyste. W dole, opatulone schodzącą z gór mgłą, majaczyło miasteczko. Chłodne powietrze było ukojeniem po wielogodzinnej podróży, a jednocześnie uświadomiło mu, że był zupełnie nieprzygotowany na taką pogodę. Z niepokojem opatulił się ciasniej swoją skórzaną kurtką, gdy chwilę później pierwszy płatek śniegu wylądował na jej rękawie i znikł.

Jaskuła tak obskoczył upragnionego gościa, wylewnie go witając, udzielając mu jednocześnie całej serii jowialnych klepinięć w ramiona i plecy, pakując niemal przemocą do swojego samochodu, zasypując tyłoma pytaniami, że Czerwiński dopiero siedząc na miejscu pasażera mógł mu się uważniej przyjrzeć. Początkowo zakładał, że jego gospodarz postarzał się w podobnym stopniu, jak on sam. Jeżeli jednak miałyby to być prawda, byłaby ona ze wszechmiar okrutna: Jaskuła był bowiem obecnie łysym, kartoflanym gnomem, który w niczym nie przypominał dziarskiego mężczyzny sprzed dwudziestu laty.

Dwadzieścia lat temu... Wydawałoby się, że to wszystko – młodość, szczęście – zdarzyło się niedawno. Przyjechali wtedy z Heleną do Pensjonatu Jaskuła na “urlop twórczy”. Edwin Czerwiński, wówczas autor kilku opowiadań i ciepło przyjętej przez miłośników literatury grozy jego debiutanckiej powieści *Dziecko bez twarzy* (Zielona Góra, 1985), planował właśnie kolejną książkę, która później miała okazać się przełomowa w jego karierze. Był to słynny *Calun* (Zielona Góra, 1988), książka, która ukonstytuowała na niemal dwie dekady jego pozycję “króla polskiej powieści grozy”. Tamte wczasy w “Jaskule” okazały się udane zarówno pod względem turystycznym, jak i artystycznym – wyjeżdżając, Czerwiński miał już pierwsze dwa rozdziały. Zadowolony z uprzejmej i sympatycznej gościny, autor wręczył na koniec zaskoczonemu gospodarzowi w prezencie egzemplarz swojej pierwszej powieści z dedykacją, nie spodziewając się, że w ten oto sposób zdobędzie oddanego fana. Zbigniew

Jaskuła nie tylko przeczytał książkę, ale stał się wielkim admiratorem jego twórczości i, przesyłając przez wiele lat widokówki przedstawiające okoliczny krajobraz w różnych stadiach zanieżenia na warszawski adres Czerwińskich, namawiał “mistrza” do złożenia ponownej wizyty “w jego skromnych progach”. Czerwiński miał jednak w tym czasie inne rzeczy na głowie: zyskał całkiem spory rozgłos w całym bloku postsowieckim jako autor średnio wyrafinowanych, ale dobrze napisanych powieści z dreszczykiem. Drukowali go w Rosji, na Węgrzech, a nawet w ojczyźnie hrabiego Drakuli, jak dowcipnie stwierdził wydawca na okładce którejś z jego książek. Powodziło mu się całkiem, całkiem.

Ale tamten szczęśliwy czas był dawno martwy i pogrzebany.

Kiedy w końcu, po kilkuletniej przerwie, odebrał list, w którym Jaskuła proponował zorganizowanie wieczoru autorskiego “w niepowtarzalnej górskiej atmosferze” – “na ukoronowanie 25-lecia pracy twórczej”, nie był już taki zajęty. W zasadzie, nie był zajęty wcale. Żona zostawiła go prawie przed dekadą. Z innymi kobietami zupełnie nie wychodziło. Dość powiedzieć, że ostatni raz uprawiał seks jakieś sześć lat temu. A ostatnią, chłodno przyjętą powieść wydał prawie pięć lat temu. Od tamtej pory w zasadzie nie pisał. Czas jakby stanął w miejscu. Dni przychodziły i odchodziły, puste. Nawet najbliższy przyjaciel już go nie odwiedzał, nie mogąc znieść jego abstynencji – Czerwiński bowiem, z różnych względów, zawziął się i nie pił od trzech lat. No i na to przychodzi list od Jaskuły, który nadal uważa go za “mistrza” i proponuje sentymentalną podróż. *Czemu nie?* pomyślał, jednocześnie łapiąc się na tym, że taka myśl przyszła do niego pierwszy raz od bardzo dawna.

A teraz siedzi w samochodzie i wysłuchuje podnieconego Jaskuły, który obiecuje mu jutrzejszego wieczora “prawdziwy benefis”, który zgromadzi z górą pięćdziesiąt osób: “oficjeli, ludzi kultury i artystów z całego regionu”. Będą również pracownicy gminnego domu kultury i nasza wspaniała młodzież... Myśl Czerwińskiego odpływała, podążając za wzrokiem, który błędził wśród widocznych w oddali wierzchołków. Nie do końca czuł się swobodnie w towarzystwie tego człowieka, którego ostatni raz widział w zupełnie innej epoce, a którego zachwyty nad jego twórczością i przymilny ton odbierał jako krępujące. Wręcz momentami miał wrażenie, że tamten się z niego w przewrotny sposób naigrywa, stawiając jego pisanie, albo i jego samego na piedestale, na który Czerwiński nie zasługiwał.

– Zastanawiam się – przerwał dość obcesowo monolog Jaskuły – czy może udałoby mi się dzisiaj jeszcze przejść po dolinie?

– Oj, to bym odradzał. – Po raz pierwszy uśmiech opuścił oblicze Jaskuły. – Widzi pan, pogoda tutaj jest naprawdę zdradliwa. Nie ryzykowałbym.

Jechali przez moment w milczeniu, które wobec wcześniejszego nieustannego potoku

słów brzmiało osobiście.

– Dlaczego zdradliwa? – zapytał Czerwiński lekkim tonem.

– Dlatego – Jaskuła odwrócił się do niego, całkowicie ignorując przedpole jazdy – że zaczął padać śnieg. A musi pan wiedzieć, że tutaj, jak już zacznie padać, to zazwyczaj robi się z tego śnieżycy. Ba, przez położenie naszego miasteczka – odwrócił wzrok na drogę, biorąc kolejny zakręt, a Czerwiński poczuł ulgę – zdarza się nawet, że jesteśmy parę dni pod rząd całkiem odcięci od świata, zanim się odkopimy. Więc może pan tu utknąć na jakiś czas – roześmiał się głośno. – Ale proszę się nie martwić, zajmiemy się panem, ugościmy pana po królewsku.

Czerwińskiemu do śmiechu nie było. Najchętniej poprosiłby Jaskułę, żeby ten zawrócił i odwiózł go na stację. Ale to było niemożliwe: właśnie podjechali pod pensjonat. Pomyślał z żalem o swoim mieszkanku w Warszawie: rośliny doniczkowe, ściana książek, telewizor, w którym można obejrzeć mecze piłkarskie na niemieckich kanałach z satelity.

– Może nie będzie tak źle – mruknął; Jaskuła nic na to nie odpowiedział.

Jaskuła osobiście odprowadził go do “apartamentu” na pierwszym piętrze. Pokój był przestronny i schludny, choć jednocześnie pozostawiał wrażenie, że przez ostatnie dwadzieścia lat czas się w pensjonacie zatrzymał. Widok z okien nie był powalający – dachy domów i ściana lasu na tle pagórkowatego krajobrazu. Płatki tańczyły, sukcesywnie się mnożąc. Jaskuła przeproszał za niedogodności: pomimo szczerych chęci nie mógł udostępnić gościowi pokoju z najlepszym widokiem, znajdującego się w drugim skrzydle budynku, bowiem z uwagi na niewielką katastrofę kanalizacyjną, za którą poszła też awaria instalacji elektrycznej, pokoje od strony południowej zostały do czasu remontu wyłączone z użycia.

– To naprawdę nic – powiedział Czerwiński, czując zmęczenie wielogodzinną podróżą i gadaniem gospodarza.

– Mam nadzieję, że zrekompensuje panu ten lekko obniżony standard pewien drobny, sentymentalny rzecz by można, szczegół. – Jaskuła spojrzał na niego wyczekująco. Czerwiński bezradnie rozłożył ręce.

– Otóż sprawdziłem w starym diariuszu pewien fakt. Proszę sobie wyobrazić, że znajdujemy się w tym samym pokoju, w którym zatrzymał się pan z małżonką dwadzieścia lat temu. Z tym że wtedy to był pokój numer dwanaście. A teraz, po remoncie, ma inny numer.

– Wspaniale – szepnął Czerwiński, nie wiedząc, jak inaczej mógłby zareagować; w rzeczywistości informacja ta pozostawiła go doskonale obojętnym. Jaskuła wycofał się z pokoju w ukłonach, zapraszając na obiad i wyrażając jednocześnie nadzieję, że godzina piętnasta bę-

dzie odpowiednia.

Na ścianie wisiał zegar z rzeźbionym motywem ludowym, przedstawiającym wężowaty wzór. Wskazywał godzinę siódmą z minutami. Czerwiński spojrzął na nadgarstek: w rzeczywistości było dwadzieścia po drugiej.

– Prawdę mówiąc, chciałbym się chyba chwilę zdrzemnąć – powiedział do pustych ścian; Jaskuła zdążył ulotnić się jak duch.

Poza bezużytecznym zegarem, na ścianie wisiał obraz. Czerwiński podszedł bliżej. Pamiętał go: wykorzystał go nawet jako rekwizyt w jednym z opowiadań (*Szumi las*, w zbiorze *Sucha rana*, Zielona Góra 1986). Przedstawiał on dziewczynkę, która na sznurku prowadzi pstrokatą kozę przez słoneczną polanę. Na horyzoncie maluje się czerń lasu. Pozornie sielankowa scena emanowała dziwnym, dusznym nastrojem.

Czerwiński kątem oka dostrzegł jakiś ruch w pobliżu drzwi. Wzdrygnął się. Okazało się, że na ścianie obok drzwi powieszono lustro w drewnianej ramie. Spojrzął na swoje odbicie: był wymizerowany, jakby nie spał od tygodni. Następnie jego uwagę przykuła wisząca na drzwiach tabliczka, zatytułowana z rozmachem *Spis inwentarza*. Na liście, którą machinalnie zaczął odczytywać, skrupulatnie wymieniono wszystkie meble i udogodnienia, jakie znalazły się w jego pokoju (stół, dwa krzesła, półka, telewizor, stolik telewizyjny, dwie szklanki, kubek, czajnik elektryczny, biurko, telefon, zasłony, schowek, sztuce, sznur, szafa, trzy wieszaki, stoliczek kawowy, łóżko, dwie poduszki, kołdra, prześcieradło, szafka nocna, lampka i nie wiadomo co jeszcze). Ponadto, w rubryce “uwagi” sporządzono odręczną notatkę. Czerwiński ją przeczytał, a lekkie zaskoczenie ustąpiło niedowierzaniu, gdy dotarł do niego sens słów. “Zawias prawy w szafie obluźowany. Napis z tyłu szafy. Plama na dywanie.”. Czerwiński odruchowo przebiegł wzrokiem po wykładzinie. Żadnych plam na szczęście nie było. Nie chciał mu się natomiast odsuwać szafy i sprawdzać. Kto by pomyślał, Jaskuła ma specyficzne poczucie humoru. Żart był czytelny dla wszystkich miłośników jego twórczości, Jaskuła bowiem postanowił zacytować identyczny opis inwentarza, jaki odkrywa główny bohater w tytułowym *Pokoju 18* (Warszawa, 1990).

Biorąc jednakże pod uwagę marny los, jaki stał się udziałem jego protagonisty (pożarty przez demona), Czerwiński uznał dowcipną pieczołowitość Jaskuły za trochę niesmaczną. Zaplanował cichą zemstę: nie da satysfakcji gospodarzowi i w żaden sposób nie nawiąże do tego nachalnego mrugania okiem, czy cokolwiek też miało to w pojęciu pana Jaskuły być. Ale musiał zerknąć: otworzył drzwi i stwierdził, a jakże, że umieszczono go w pokoju numer 18.

– Pajac – zawyrokował Czerwiński. Łapał się ostatnio na mówieniu do samego siebie.

Zajrzał do łazienki: musiała być niedawno remontowana, białe kafle i wyszorowana

kabina prysznicowa lśniły. Poprzednim razem do łazienki trzeba było wychodzić na korytarz. Zadowolony wrócił do pokoju i, zrzucając buty, wyciągnął się na szerokim łóżku, przykrytym narzutą w kolorze buraczkowym, takim samym, jak wiszące na drewnianej belce długie zasłony w oknie. Chwilę leżał, wsłuchując się w białą ciszę. Tylko wszechobecne drewno raz po raz skrzypiało.

Czerwiński otworzył oczy i spojrzał na stojące w rogu pokoju biurko. Uśmiechnął się: czyżby to było to biurko, przy którym wtedy pisał? Akcja *Catunu*, który do dzisiaj nieźle się sprzedawał, toczyła się w małym górskim miasteczku, gdzie w niejasnych okolicznościach zaczynają ginąć mieszkańcy. Znajdowane są ich pokiereszowane, częściowo zjedzone zwłoki. W coraz to bardziej poplątanej fabule (dziś już inaczej by to napisał) wiara miejscowej ludności, jakoby mordów dokonywało mityczne plemię górskich kanibali, ustępuje stopniowo przekonaniu, że winnym jest tajemniczy pustelnik, przewodzący stadzie oswojonych przez niego wilków. Starzec mieszka w lesie, posądza się go o kontakty z duchami. Postanowił zbadać tę hipotezę. Zobaczył go z daleka: siedział przed szałasem, manipulując jakimiś patykami, jakby plótl kołyskę dla demona. Serce Czerwińskiego biło szybko, był przekonany, że starzec go usłyszał bądź wywęszył, ale z jakiegoś powodu postanowił zignorować intruza, podchodzącego pod jego siedlisko. Miał wrażenie, że cały las ucichł, nie słyszał ptaków, nawet woda w pobliskim strumieniu jakby się zatrzymała. Od dziada, zwałistego, całego pokrytego siwą szczecinią dzieliło go już tylko kilka metrów. Zamierzał pokojowo powitać pustelnika z bezpiecznej odległości, ale było coś hipnotyzującego w tej postaci, w jego niewzruszonej postawie, gdy zdawał się w ogóle nie zauważać nieproszonego gościa, co sprawiało, że ten podchodził coraz bliżej, na wyciągnięcie włochatej ręki. Nagle pustelnik podniósł wzrok. Jego oczy były czarne, a pomiędzy warg wystawały wilcze kły.

Czerwińskiego przeszedł dreszcz. Stwierdził, że leży na łóżku w swoim nowym-starym pokoju. Musiał się zdrzemnąć, światło na zewnątrz wyraźnie zbladło. Dochodziła czwarta. Z wysiłkiem dźwignął się z łóżka i z niedowierzaniem spojrzał przez okno na całkiem biały krajobraz.

– Jestem tu udupiony – powiedział, a jego głos zabrzmiał głucho, jakby dobywał się z głębi trumny. Czuł się słaby, zataczał się. Drzemka nie pomogła. W łazience obmył twarz, unikając tym razem przyglądania się swojemu odbiciu. Ale i tak wiedział, że jego oblicze znaczą głębokie zmarszczki i wory pod oczami. Przypomniało mu się jego własne młodzieńcze opowiadanie, inspirowane historią Doriana Graya – twarz w zwierciadle starzeje się, a w końcowej scenie bohater widzi już tylko własną wyszczerzoną czaszkę i osuwa się ostatecznie we wzburzający w nim od jakiegoś czasu obłęd (*Ecce homo*, 1977, niepublikowane).

Przezcesał przeredzające się włosy, wzuł eleganckie, ale rozczarowująco niewygodne buty i wyszedł z pokoju. Na korytarzu było dość ciemno, a on musiał z rozpędu minąć włącznik światła. Nie chciał się cofać, w związku z czym brnął przez szarość po schodach w dół. W pewnym momencie pomylił drogę i prawie zapędziłby się w ciemny korytarz, jednakże po kilku krokach w nieprzyjemnym półmroku uświadomił sobie, że aby dostać się do jadalni, musi zejść jeszcze jedno piętro niżej. Widok skumulowanej ciemności prowadzącej najwyraźniej do wyłączzonego z użytku skrzydła budynku sprawił, że poczuł się nieswojo, sam do końca nie rozumiejąc dlaczego; dopiero jasne światło, które dobiegało z sali jadalnej sprawiło, że uczucie to znikło.

Tymczasem w pokoju numer 18 na ścianie wisiało lustro, w którym odbijał się cały pokój i padające za oknem gęste strzępy śniegu.

Na talerzu znajdowało się kilka kawałków mięsa w żółtawym sosie, z krwawą plamą żurawiny. Jak się wyraził Jaskuła, wyjmując mu z rąk menu “dla zwykłych gości”, dla niezwykłego gościa ma “coś ekstra”. Uwadze Czerwińskiego nie uszło, że gospodarz osobiście podał do stołu. Oraz to, że do obiadu zaserwowano mu nalane do kieliszka czerwone wino. Stara szkoła, nie ma co.

– To ta pogoda – westchnął Jaskuła. – Zwolniłem wcześniej cały personel do domu. I z tej też przyczyny moja żona jeszcze dzisiaj nie przywitała się z panem, kazała najmocniej przeprosić, ale zawsze na takie zawirowania pogodowe ma okropne migreny...

– Nic się nie stało – zapewnił Czerwiński. – A pozostali goście? Jestem jedyny w całym pensjonacie?

Siedzieli naprzeciwko siebie w całkowicie pustej, rozświetlonej rażącym światłem sali jadalnej. Za dużymi oknami i wychodzącymi na taras drzwiami zaległa już ciemność, ale śnieg nadal delikatnie muskał szyby. Pustki jak na weselu duchów. Czerwińskiemu przeszło przez myśl, że zaplanowane na jutro przyjęcie na kilkadziesiąt osób to tylko fantazje właściciela prowincjonalnego pensjonatu, któremu się coś uroiło.

– Oczywiście, że nie, oczywiście, że nie! – zacukał się Jaskuła. – Wprawdzie jest poza sezonem, ale mamy kilku gości, tylko że kolację wydajemy dla nich dopiero o godzinie dziewiętnastej, natomiast ten posiłek nasz kucharz przygotował specjalnie dla pana!

Cokolwiek jutro ma się wydarzyć, Czerwińskiemu było wszystko jedno. Stwierdził, że wcale nie ma ochoty na kontakt z miłośnikami jego prozy. Ten jeden, który siedział naprze-

ciwko, ogrzewając kieliszek wina dłońmi jakby miał nalany tam koniak, to było aż nadto. Niechże przyjdzie on, jego żona i ze dwóch innych desperatów, to w zupełności wystarczy – nie potrzebuje w swoim obecnym stanie użerać się z tłumem tępaków z prowincji, łowców sensacji i innych indywidualistów.

– A pan nie je? – spytał, chwytając za sztućce.

– A ja już po obiedzie – mitygował się Jaskuła, mający najwidoczniej zamiar przyglądać się gościowi w trakcie jego posiłku.

– A ja co jem? – Przyjrzał się posiłkowi. Ostatnio starał się ograniczać mięso. Jaskuła uśmiechnął się błogo.

– To jeleń. Świeżutki. No, niechże pan spróbuje.

Czerwiński zaczął łykać jak gęś kolejne kawałki mięsa. Było nieco twarde. Najbardziej smakowała mu lepka i słodka żurawina. Żuł nerwowo, chcąc jak najszybciej uporać się z posiłkiem, skrępowany, że tamten siedzi i się mu przygląda.

– Bardzo smaczne – skłamał.

Jaskule chyba więcej nie trzeba było do szczęścia, bo zamarł z błogim uśmiechem na ustach. Ale zaraz drgnął, jakby ugodzony nożem, i wznosił kieliszek.

– Za spotkanie po latach.

Czerwiński zastanawiał się, dlaczego nie poprosił o coś innego do picia, dlaczego sięga po kieliszek, dlaczego pozwala Jaskule stuknąć swoim kieliszkiem o jego kieliszek, dlaczego bierze pierwszy łyk. To prawda, odczuwał potrzebę, żeby popić ten smak, jaki pozostawiło w jego ustach przełknięte mięso; i już tak dawno nie pił wina, a kiedy je zobaczył, pobłyskujące w szkle tuż pod swoim nosem, pomyślał, że przecież jeden toast mu nie zaszkodzi.

Wino okazało się paskudne.

– Muszę się panu przyznać – wymamrotał – że od jakiegoś czasu w ogóle nie piję alkoholu.

– Och! – rozłożył ręce Jaskuła. – To bardzo rozsądnie z pańskiej strony!

– Dlatego też już dziękuję. – Odsunął wino od siebie.

– Ale wie pan – Jaskuła uśmiechnął się filuternie – jeden kieliszek wina to samo zdrowie.

Tak zwana Symboliczna Lampka Wina!

Czerwiński popatrzył na alkohol. *Może wyszedłem z wprawy*, pomyślał.

– To może wypijmy jeszcze za jutrzejszy wieczór – nalegał Jaskuła. – Żeby wszystko dobrze poszło.

Czerwiński odetchnął głęboko i podniósł kieliszek powtórnie do ust.

Dlaczego dał mu się namówić? Był wściekły, wypił cały kielich ohydneho wina i zbierało mu się na wymioty. Pomimo zaserwowanej po posiłku przez gospodarza szklanicy herbaty, Czerwiński czuł się ciężki, a pośpiesznie zjedzone mięso nieprzyjemnie mu się przypominało. Za deser i kawę, ku rozpaczy Jaskuły, podziękował. Z ulgą otworzył drzwi do swojego pokoju. Poprzez poświatę rzucaną przez śnieg za oknem, w środku, mimo zgaszonego światła, było dość jasno. Siadając na łóżku, beknął. Z niechęcią pomyślał o nagrodzonym swego czasu opowiadaniu własnego autorstwa, w którym to szef kuchni podaje ludzkie mięso w gulaszu, a wśród mieszkańców przekłętego miasteczka rozbudza się ponury instynkt kanibalizmu. Próbował zapalić lampkę na stoliku nocnym, sięgając do tyłu, ale nie działała: być może była niepodłączona do kontaktu, ale nie chciało mu się tego sprawdzać. Po winie ciążyła mu głowa; postanowił się znowu na chwilę wyciągnąć. Przed drzemką uklepał poduszkę, uklepał śpiące pośród białego pierza demony.

Znowu mu się coś śniło: tym razem były to węże, a może pełzające sznury, szczurze ogony, splatające się wokół siebie i zaciskające na jego ciele. Krzyknął przez sen, ale się nie obudził.

Zobaczył ostre światło. Sceneria wydawała się znajoma. Padał śnieg. Uliczne latarnie oślepiły go, plamy światła zlewały się ze sobą. Znowu widział postać w czerwonym płaszczyku. Oślepiająca poświata. *Myslałeś, że uciekniesz, zaskrzeczał obcy głos. Ale ona już idzie do ciebie.*

Otworzył oczy, przerażony. Lampka na stoliku nocnym paliła się, dając przytłumione światło. Pokój pozostawał w półmroku. Rozświetlony klosz lampki odbijał się w lustrze. Odychał ciężko, zlany potem. Zdrętwiała mu cała prawa strona ciała, zwłaszcza ręka. O tym też przecież kiedyś napisał. Człowiek traci czucie w ręce, ręka porasta ciemnym włosiem, rosną długie szpony w miejsce paznokci. Przeważony nieszczęśnik barykaduje się we własnym pokoju, ale ręka zaciska się na jego szyi i go dusi.

Z trudem dźwignął się z łóżka. Kątem oka dostrzegł zegar: było tuż przed trzecią. Poczłapał do łazienki. Coś musiało być nie tak z instalacją również w jego pokoju, wbrew zapewnieniom Jaskuły – światło nieprzyjemnie drżało, jakby miało zaraz zgasnąć. Czerwiński przemył twarz nad zlewem. Coraz mocniej mrugające światło zniechęcało go do wejścia pod prysznic. Stał przez chwilę bezradnie na środku łazienki, wdychając zapach ręcznika, którym wytarł twarz. Światło mignęło, a on zobaczył na powierzchni nadal trzymanego w rękach ręcznika potworne plamy. Krew. Szare. Pleśń. Krew. Podniósł wzrok do lustra. W tym mo-

mencie zrobiło się zupełnie ciemno. Znieruchomiał. Trwało to jeden oddech.

Światło mignęło. Zobaczył w lustrze twarz. Mięso. Przerażający, bezkształtny otwór w miejscu swojej twarzy. Twarz ulepioną z mięsa. Wrzasnął. To było poza kontrolą. Światło zgasło.

Twarz była nieludzka, ale wiedział, że należy do niego.

Po chwili światło znowu się zapaliło, w lustrze wybałuszone z przerażenia oczy. To była jego własna twarz, jego normalne, aczkolwiek całkowicie wzburzone oblicze. Z nosa leciała mu krew. Światło przestało migać.

Spokojnie, po prostu leciała mu krew, to wszystko przez wino i przemęczenie.

Ta wystawiona samemu sobie diagnoza w magiczny sposób go uspokoiła i poprawiła humor, ale jedynie na kilka chwil, bo zaraz fala mdłości porwała jego ciało w stronę muszli klozetowej, gdzie konwulsyjnie i hałaśliwie zwrócił częściowo strawiony posiłek. Krew?

Bez paniki, to musi być to cholerne wino. Co też go napadło, przecież nie pił już od... Światło znowu zamigotało, tak jakby instalacja elektryczna współodczuwała toczącą go od środka niedyspozycję. Wściekły, zrezygnował z prysznicza, walnął w wyłącznik światła, i zataczając się wrócił do pokoju. Przy jego dzisiejszym szczęściu pewnie z rur popłynęłaby zamiast wody gęsta i lepka czerwona ciecz (*Hotel Horror*, Warszawa 1991), albo na suficie łazienki objawiłyby się paskudne liszaje, które zaatakowałyby jego ciało i zaczęły je rozkładać żywcem (*Fungus Monsterus*, w: *Twój Ogród*, nr 4/1992). Ma to w dupie. Jutro się doprowadzi do ład. Na razie potrzebuje czułych ramion snu.

– Pierdolony Jaskuła – stęknął, opadając na łóżko. Nagle drgnął i podniósł głowę: lampka obok łóżka była zgaszona. Poczul falę zimna, przechodzącą przez jego ciało, ale szybko znalazł racjonalne wyjaśnienie tej sytuacji: przez te nieustanne skoki napięcia w tej niemożliwej instalacji elektrycznej żarówka ostatecznie się przepaliła. Z niesmakiem westchnął i ułożył się, zamykając oczy, ale mimo zmęczenia czuł wyraźny niepokój, który powodował, że zaśnięcie było obecnie niemożliwe. Podświadomie wyczuł, że śnieg przestał już padać, pokój opatulony był ciszą, pogłębioną o kilka poziomów, jakby znalazł się w kapsule wiele metrów pod ziemią (*Tytanowa trumna*, Warszawa, 1997). Było zbyt cicho. Nie słyhać było wody w rurach, wiatru wdzierającego się pomiędzy belki stropu, ludzkich głosów, dźwięków w innych pokojach i na korytarzu. Myśl o korytarzu rozrosła się w głowie Czerwińskiego do wyrazistej, a jednocześnie przykrew wizji, w której ściany, wzdłuż których przechodził dzisiaj na obiad i wracał jeszcze kilka godzin temu, stanowią dziwny, amorficzny organizm, pokryty gęstymi i długimi włosami o ciemnym umaszczeniu. Unosiły się w powietrzu niczym podwodne rośliny. Czerwiński widział siebie, przechodzącego przeklętym korytarzem, szukające-

go drogi do pokoju numer 18, podczas gdy wstrętne brunatne wstęgi kołysały się, zwisając ze ścian i sufitu, sięgając w jego kierunku. Starał się ich nie dotknąć i wtedy zobaczył, że pomiędzy kosmyków, w żywym ciele ściany tkwią setki czarnych, pustych oczu, a każde z nich przypominało ślepią dużego leśnego zwierzęcia.

Czerwiński nie pamiętał, czy gdzieś użył takiego obrazu, ale dziwna niemoc, jaka trzymała go w swoich szponach już od jakiegoś czasu uniemożliwiała mu normalne zachowanie, jakim byłoby sięgnięcie do torby po notes i zapisanie pomysłu. Wręcz sama myśl o wykonaniu najmniejszego ruchu wydała mu się przerażająca, a jakiś obcy, szalony głos w jego głowie szeptał mu do ucha, że jeśli Czerwiński zapisałby swoją wizję, wnet zmaterializowałaby się ona i stała przerażającą rzeczywistością, odcinając mu drogę wyjścia z pokoju, w którym – w każdej chwili z większą wyrazistością sobie to uzmysławiał – czuł się coraz bardziej uwięziony.

Pomyślał, że nie da rady jutro wstać. Znajdą jego zwłoki, częściowo wrośnięte i pożarte przez łóżko (pomysł rodem z ostatniego, nieukończonego opowiadania, z którym się biedził w zeszłym roku). Otworzył oczy najszerzej jak mógł (scena wyłupywania, wiele utworów, zwłaszcza w latach 90.). Pokój był cichy i ciemny. Czerwiński, zlany potem w tę mroźną noc, miał ochotę sam się z siebie śmiać. To jakiś idiotyczny, bezzasadny atak paniki. Musi się uspokoić. Na korytarzu – futro na ścianach, co za kretynizm – musiało się palić światło, jego smuga przenikała do pokoju, pełzając pod drzwiami. Sięgnął po swój zegarek leżący na nocnym stoliku i z zaskoczeniem stwierdził, że jest jeszcze wcześniej – parę minut po siódmej. Zmarszczył brwi. Zegarek nie wydawał z siebie swojego normalnego cichutkiego tykania.

Obojętnie, która godzina. Stwierdził, że chciałby się czegoś napić. Nie alkoholu – lepsza byłaby herbatka ziołowa na niestrawność i skołatanę nerwy. Niechęć do oglądania po raz kolejny płaszcącego się przed nim Jaskuły i niepewność co do godziny przez moment go powstrzymywały – trzymał parę chwil rękę na plastikowej słuchawce stojącego przy łóżku na stoliku telefonu.

Nie może być tak późno, pomyślał zirytowany, zresztą – po co te skrupuły. Po tym wszystkim, co tu przeżyłem dzisiejszego wieczora, dzięki obiadkowi zaserwowanemu przez tego piździelca.

Ledwo podniósł słuchawkę, zaskoczył go głos. Ktoś się odezwał, tak jakby cały czas siedział z telefonem przy uchu, czekając na zachcianki dzwoniącego. Ponieważ Czerwiński nie dosłyszał, czy rozmawia z Jaskułą, lekko zmieszany i wytrącony z równowagi tak nagłym rozpoczęciem rozmowy, zaczął tłumaczyć w czym rzecz. W miarę jednak jak mówił, udzielało mu się coraz silniejsze wrażenie, że dziwny, jakby wysuszony na wiór głos, jaki w pierwszej

chwili usłyszał, zupełnie nie brzmiał jak dobrotliwy głos pana Jaskuły.

Czerwiński już sam się w tym pogubił: teraz już był przekonany, że dźwięk, jaki usłyszał po podniesieniu słuchawki, wcale nie brzmiał jak “słucham” czy “halo”. Urwał swój monolog w pół zdania.

– Leż i czekaj – powtórzył dobitniej szkaradny głos i w słuchawce zaległa cisza.

Jeśli to był Jaskuła, pomyślał Czerwiński, *to brzmiał jakby był w trakcie połykania ogromnego szczura i nie zamierzał przerywać sobie posiłku*. Na głos, oburzony, powiedział:

– Że co proszę?

Odpowiedziała mu cisza.

– Panie Jaskuła? Jest pan tam?

Nic. “Leż i czekaj”?!

Jednocześnie Czerwiński był przekonany, słyszał w słuchawce oddech! Nie wiedział, jak ma się zachować wobec takiej eskalacji chamstwa.

– Tak będziemy milczeć? Halo? – spróbował. Cisza. Tylko ta obecność po drugiej stronie.

Czerwiński walnął słuchawką o widełki. Chwilę siedział, nie rozumiejąc, co tu się wydarzyło. Musiał się chyba pomylić, wmówił sobie, że tamten go słyszy – i milczy. Przesłyszał się.

Może to coś znowu z tą elektrycznością... Podniósł jeszcze raz słuchawkę. Ten milczący ktoś tam był. To milczące coś.

– Halo, halo? Halo?! – Czerwiński parokrotnie nacisnął na widełki, przyciskając boleśnie słuchawkę do ucha. Słyszał, jak tamten oddycha. A może nawet nie słyszał, to było coś na granicy słyszalności. Ale przecież czuł, czuł wyraźnie, że tam ktoś jest, jest i słucha.

– Ty pierdolony szmaciarzu! – ryknął i po raz drugi rzucił słuchawką.

Pomimo, że już nie trzymał słuchawki przy uchu, to uczucie czyjejś obecności było nadal obecne. Ktoś go słyszał. Ktoś go słuchał. Oddychał i był tu, w pokoju Czerwińskiego.

Czerwiński, miotając się na łóżku, wyrzucał z siebie dalsze wulgaryzmy i złorzeczenia. Ani na co dzień, ani tym bardziej w swojej twórczości nigdy nie pozwalał sobie na używanie takiego języka, ale teraz “jebanie przez psy” i “sranie na pierdolony ryj” płynęły z jego ust jak wielka plugawa rzeka gówna.

– Wrzesczę w pustym pokoju. – Błysk świadomości uciszył go w pół kolejnego historycznego zdania, w którym zsyłał na Jaskułę wszelkie możliwe plagi i choroby. To tylko cisza, dziwna, zimowa cisza w ciemnym pokoju.

Na korytarzu paliło się światło.

Jestem w tym pokoju sam. Jest środek nocy. Jaskuła na pewno śpi w swoim łóżku,

śniąc sny zadowolonego z siebie idioty. Jutro mam swoje święto. Znowu będę podziwiany i oklaskiwany. Znowu będą we mnie widzieć coś więcej niż to, czym w rzeczywistości jestem. Będą mi gratulować i ścisnąć dłonie. Będą mnie częstować robaczywym mięsem i zagrzybionym winem...

Smugę światła pod drzwiami na mgnienie oka zmaścił jakiś ruch na korytarzu.

Pokój jest pusty, powtarza sobie Czerwiński. Nie jest pusty, jest w nim Edwin Czerwiński, pisarz. Autor doskonale sprzedających się powieści i opowiadań. Odnowiciel gatunku. On jest w pokoju. Ja jestem nim. Poza nami nie ma tu nikogo.

Ktoś stanął pod drzwiami.

Czerwiński wpatrywał się w cień, który wdarł się w plamę światła na podłodze. Czyli czyjś cień. Ktoś tam stoi.

Po co?

– Panie Jaskuła? – zawołał Czerwiński. Ale to nie był cień pana Jaskuły. Drobny cień. Drobne ciało.

– Jest tam kto? – chciał zawołać Czerwiński, ale z zaciśniętego jak wnyki gardła wydobył się tylko stłumiony szept.

Zadzwoił telefon. Jego głośny terkot przecinający głucho powietrze sprawił, że rozhisteryzowany Czerwiński omal nie wybuchnął płaczem.

Telefon dzwonił głośno.

Skoro dzwoni, to znaczy, że Jaskuła nie może stać pod drzwiami, myślał gorączkowo Czerwiński. Bo albo oddzwania do mnie, albo łączy z kimś rozmowę.

Cień stał pod drzwiami.

Jeśli nie odbiorę, to nie usłyszę, jak to coś otwiera drzwi. Jeśli nie odbiorę, to stracę ostatnią szansę, żeby powiedzieć Jaskule, że ktoś mnie zaatakował, żeby wezwał pomoc, żeby przybiegł mi pomóc.

Jednym ruchem porwał słuchawkę, jednocześnie miał wrażenie, że cień się cofnął spod drzwi, być może już uciekał korytarzem.

– Panie Jaskuła – szepnął. – Ktoś chodzi po korytarzu...

– Ma pan gościa – odpowiedział obcy głos, ten, który usłyszał wcześniej. – Ktoś, kogo pan dobrze zna.

W słuchawce dało się usłyszeć cichy syk i nastąpiła głucha cisza, jakby ktoś ostatecznie wyrwał kabel z gniazdka. Wzburzony Czerwiński dostrzegł, że na korytarzu zgasło światło. Pokój był całkowicie pogrążony w ciemności. Czerwiński wstrzymał oddech.

Odezwało się ciche pukanie. Wyobraził sobie małą rączkę, stukającą w drzwi.

- Odejdź! – krzyknął rozpaczliwie, mimo że chciał zapytać “kto tam”.
- Otwórz – usłyszał szept. A może nie usłyszał. – Otwórz – powtórzył głos dziewczynki.
- Czego chcesz? – bezgłośnie poruszył wargami.
- Chcę, żebyś zobaczył moją twarz.
- Nie znam cię! – krzyczał, chociaż nie było to prawdą.
- Tu jest wąż – szepnął głos.

Pukanie ustało. *Tu jest wąż*. Siedział na łóżku, sparaliżowany, nie wiedział, jak długo. *Tu jest wąż*.

Zorientował się, że stoi przy drzwiach. Tam nikogo nie ma. To tylko histeryczne omamy. Odwodnienie. Wiatr wiejący pomiędzy wierzchołkami gór w całkowitej ciszy. Nawet miejscowi wtedy wpadają w szal. Otworzy drzwi i tam nikogo nie będzie. Wszystkie demony wrócą tam, gdzie ich miejsce: na karty jego książek, z powrotem do świata powieści i opowiadań. Znikną w ciemności. Nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. W zamku był klucz. Przekręcił go. Otworzył. Za drzwiami nie było nikogo.

Korytarz był ciemny, widać było zupełnie normalny, niegroźny zarys ścian i drzwi do sąsiednich pokoi. Normalny, niegroźny. Spojrzał w głąb ciemności. Nikogo. Co za ulga. Odetchnął głęboko. Co za chore wizje może spowodzić wyobraźnia i zatrucie pokarmowe. Teraz, kiedy naocznie przekonał się, że nic mu nie grozi, a cała sytuacja okazała się tylko nieuzasadnionym atakiem paniki, spokojnie wróci do łóżka. Porządnie się wyśpi, a jutro będzie jak nowy.

Już miał się wycofać do pokoju, kiedy uzmysłowił sobie, że głęboką ciszę na korytarzu zakłóca pewien odgłos.

Syczenie.

Rozejrzał się nerwowo. To przecież niemożliwe. Ale odgłos był wyraźny, wydawał się narastać. Zapatrzył się w mrok korytarza. Wtedy też dostrzegł czarny, sunący po podłodze kształt.

Stał oniemiały; nie mógł się ruszyć. Kształt – ogromny, gruby, wijący się – przepłynął obok jego znieruchomiłego ciała i wpełzł do pokoju. Kształt. Wpełzł.

– To niemożliwe – szepnął, patrząc, jak kilkumetrowe stworzenie wdrapuje się po jego łóżku, wślizguje się na ścianę i owija wokół belki, na której wisiały zasłony. Czerwiński nie pamiętał, żeby zasłaniał okno, ale teraz kotary były zaciągnięte. Czerwone jak jej płaszczyk. Na ich tle zawisło czarne przeznaczenie.

Drzwi do pokoju były zamknięte, musiał je w stanie szoku odruchowo zatrzaskać za sobą. Potworny kształt zwisający nad łóżkiem go fascynował. Żywa istota, zrodzona, zmate-

rializowana z jego własnej wyobraźni. Wolnym krokiem podszedł bliżej, nie czuł już strachu, raczej euforię związaną z uczuciem wyzwolenia się z matni. Ostrożnie wspiął się na łóżko, by znaleźć się bliżej; wyciągnął głowę w jej kierunku. Patrzył jak kształt formuje się i powoli zawisa nad nim. Fosforyzujące, gadzie oczy spoglądały w jego oczy, a on przypomniał sobie swój wizerunek, jaki zobaczył kilka godzin temu w lustrze. Oczy wypchanego zwierzęcia. Pamiętał, że był pijany tamtego wieczora. Pijany i wściekły.

Wybiegła na ulicę. Widział ją. Mógł zahamować, ale nie chciał. Nie był sobą. Upadła w śnieg. Jeszcze żyła. Uciekł. Był pewien, że po niego przyjdą. Nie przyszli. Dopiero teraz.

Czerwiński nie drgnął nawet, gdy zimny kształt delikatnie owinął się wokół jego szyi, stopniowo, zwiększając nacisk. Dał mu się prowadzić jak pies na smyczy. Pętla utrudniała oddychanie. Zrobił krok w powietrzu. Drewno zaskrzypiało. Ostatnia myśl, jaka przyszła mu do głowy, była radosna. Dziewczynce udało się uciec.

W lustrze wiszącym w pokoju numer 18 przez resztę zimnej nocy odbijała się przygarbiona sylwetka wisielca.



SPOOKY STUFF



SPOOKYSTUFFSHOP



YES



NO

SHRED PERSPECTIVES WORKS
DESIGN



DARK ART
AND DESIGN

GOOD BYE

PARTNERZY





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

